Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1882. Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

(Dokończenie).

Uprzejmy gospodarz, chcąc mnie zapoznać z tego rodzaju polowaniem, o którem wiele czytałem dotąd, a na którem nie uczęstniczyłem nigdy, zaprosił swego przyjaciela, bogatego obywatela z okolicy, który przybył na jego wezwanie z licznym zastępem myśliwskim, składającym się z kilku strzelców z wyżłami, z kilku jeźdźców i z czterech sokolników. Z tym licznym kontyngentem rozpoczęliśmy łowy. Wszyscy myśliwi ustawili się w szeregu, sokolnicy, każdy ze swoim ułożonym ptakiem na pięści, a wyżły naprzód puszczono. Była to właśnie pora przelotu przepiórek i chruścieli. W ten sposób ustawiony nasz szyk bojowy przechodził przez łąki i zbożowe łany, a wyżły szukały przed nami. Skoro wyżeł który wystawił przepiórkę, chruściela, frankolina lub kuropatwę, zaraz najbliższy sokolnik podjeżdżał i na porwanego ptaka rzucał swego sokoła. Sokoł rzucony rozwierał tylko skrzydła i z szybkością strzału już był na swojej zdobyczy, którą chwytał w szpony i wraz z nią spadał na ziemię. Sokolnik wtedy zeskakiwał z konia i odbierał ptakowi zawsze jeszcze żywą, choć pokaleczoną zwierzynę. Ten rodzaj polowania ulubioną jest zabawą Muzułmanów, którzy wiele mają gastronomicznych popędów, a którym Alkoran zabrania jedzenia zwierzyny, któraby niebyła nożem zarzniętą w imię Ałłacha i jego proroka. Dla tego to Muzułmanie na tych łowach z sokołami zawsze zchwytanego w ten sposób ptaka zarzynają. Inni myśliwi zchwytaną zwierzynę żywą na targi przynoszą i wszystkie czerwone kuropatwy, które ułaskawione w każdym prawie domu w Lattakii widzieć można, przez sokoły łowione bywają. Przyznać muszę, że wszelkie polowanie, na którem jestem widzem a nie aktorem, jest mi wstrętne. Nieprzeczę, iż myśliwy każdy jest jak zbójca krwi chciwym. Strzelam do zwierzyny z rozkoszą, ale na jej mękę patrzeć niemogę. Niechętnie patrzę na zająca gonionego przez charty, a tem mniej przez bigle, również na biednego ptaka chwytanego przez sokoła. Dla tego to chociaż polowanie wypadło świetnie, i około kopy pokaleczonego w ten sposób ptactwa przywieźliśmy do domu, niemiałem już odtąd ochoty powtarzać tych łowów. Polują tu z sokołem i na antylopy, ale wyznać muszę, iż słysząc, w jaki sposób odbywają się te łowy, niemiałem ochoty w nich uczęstniczyć. Do tego polowania układa się sokoła umyślnie. Wypycha się na ten cel skórę z zabitej antylopy i zamiast oczów wkłada się kawałki surowego mięsa. Zgłodniałego sokoła puszcza się stopniowo z coraz większej odległości na wypchaną mumię i te sztuczne oczy stają się

jego wyłącznym pokarmem. Z ułożonym w ten sposób ptakiem wyjeżdżają myśliwi na pustynię i spotkawszy stado antylop, puszczają go za zdobyczą. Sokoł wyuczony rzuca się na antylopę, usiada na jej głowie, wydziobuje oczy, a wtedy Arabowie dojeżdżają na koniach, i dzirytami oślepione zwierze dobijają. Za żadne skarby świata niechciałbym być uczęstnikiem tak barbarzyńskiej, myśliwskiej wyprawy. Niebyłem też nigdy naocznym świadkiem takich łowów, i tylko wiarygodnych zaczerpnąwszy opisów dzielę się nimi z czytelnikiem. Na tem kończę opis wyprawy naszej, i podaję spis ogólny zabitej przez nas zwierzyny:

Hyena 1, wilk 1, żbików 4, szakali 16, lisów 2, ichnajmonów 4, antylop 2, daniel 1 (nieodnaleziony), zajęcy 33, frankolinów 24, kuropatw czerwonych 17, przepiórek 63, chruścieli 18, pelikanów 4, kormoranów 3, czapli białych 4, czapli brunatnych 8, niebieskich kur wodnych (porphirea) 36, kaczek 6, nurków 2, kulonów 2, kszyków 9, ficlauzów 2, łysek 5, czajek 7, orłów 4, sępów 2, jastrzębi 16, słonek 3, drobnego rozmaitego ptactwa dla zbiorów pana Janowskiego ogółem sztuk 58 — Ubito razem sztuk 357.

Nareszcie dnia 12 Maja pożegnałem Lattakię i jej uprzejmych mieszkańców, którzy mi tyle dali dowodów przychylności, i teraz kołysząc się na falach morskich na pokładzie francuskiego statku „La Seyne“ z przyjemną prawdziwie myślą powracam ku chwilom, które przebyłem na Syryjskich wybrzeżach. Wrażenia najrozmaitsze napełniają duszę, cisną się pod pióro, a kreślić mi ich niewolno, bo zawiodłyby daleko po za ramy myśliwskiego pamiętnika. Pobieżnie tylko wspomnę w ogólnikowych zarysach o wrażeniach, jakie mi zostawił ten kraj i jego mieszkańcy. Z rzemiosła, jako pisarz dramatyczny, z dawna byłem skazany na studya psychologiczne, na badanie natury ludzkiej i skutków, jakie rozmaite otaczające wpływy na tej naturze wywierają. Pobyt mój w Azyi niemało mnie w tym kierunku wzbogacił, i uwzględniając warunki otaczające ludność tamtejszą, porównawczo do ludności innych, do ciekawych doszedłem spostrzeżeń. Podczas kilkotygodniowego pobytu mego w Lattakii miałem dopiero sposobność głębsze w tej mierze zrobić spostrzeżenia, ocierając się o wszelkie warstwy społeczeństwa Arabskiego tak w mieście u klas najzamożniejszych, jak u biednych górali i na puszczy koczujących Beduinów. Co do kraju samego, tej kolebki ludzkości i źródła, skąd spłynęły na świat zdroje cywilizacyi, to przyznać trzeba, że ta ziemia jak najkorzystniej geograficznie i klimatycznie położona, dziś jest istną ruiną. Na każdym kroku stopa twoja potrąca o jakieś gruzy, pamiątki po Fenicyanach, Rzymianach lub Krzyżowych rycerach, a zobojętniały Muzułmanin spokojnie przechodzi około tych relikwii historycznych i okiem na nie rzucić nawet nie raczy. Nie ma wątpienia, że dawna kolebka ludzkości przemieniła się dziś w sarkofag. — Co do ludności tego kraju, turysta europejski zawsze gotów zawołać: „To naród dziki! to barbarzyńcy!“ Chętnie na to się zgadzam, że wedle pojęć naszych dzisiejszych ci ludzie są dzicy, ale rzućmy na nich wzrok z innego stanowiska, z głębszego i ściśle psychologicznego, przedewszystkiem odsuwając od siebie wszelkie uprzedzenie, naszą Europejską zarozumiałość i dumę, a pewnie do innych dojdziemy przekonań. Wyobrazić sobie należy ludność nieoświeconą, używającą nieograniczonej wolności, ludność, u której kodex karny nie jest rzec można nawet martwą literą, ludność wiecznie uzbrojoną i żyjącą pod wpływem demoralizacyi, niesionej przez przybyszów całego świata, a przytem w wiecznych z sobą rozterkach, wywoływanych religijnym fanatyzmem tak chrześcijan jak i Muzułmanów, i ludność taką wyobrazić sobie trzeba żyjącą pod rządem najgorszym w świecie, a właściwie bez rządu żadnego. Bo też w istocie rząd turecki w Azyi już za nieistniejący uważać można. Wojsko bez odzieży i żołdu, urzędnicy od roku niepłatni, kawalerya bez koni artylerya bez dział, kasy rządowe bez pieniędzy. Wyżsi urzędnicy, jak u nas zły żyd dzierżawca, resztki inwentarza ściągają na swą korzyść, bo czują, że ich rządy długo już trwać niemogą, że „chory człowiek umiera“. Otaczają więc jak źli słudzy łoże umierającego, i rozkradają cały dobytek, nim jeszcze chory zamknął powieki. Przy tak anormalnym ustroju państwowym, jakżeż sobie wytłumaczyć, że statystyka wykazuje tak nieznaczną ilość popełnianych tam zbrodni, rozbojów i kradzieży w porównaniu do statystyki państw europejskich? — W miastach o kilkudziesięciotysięcznej ludności, gdzie nie ma policyantów na ulicach, żadnej straży nocnej, gdzie w ogóle władze nad niczyjem nieczuwają bezpieczeństwem, bramy i drzwi wszystkie stoją dzień i noc otworem, klucze i zamki uważane tu są jako zbytek niepotrzebny. Kupcy pozostawiają w nocy swe bazary, pełne kosztowności, prawie wcale niezamknięte, a pomimo tego kradzież jest rzeczą niesłychanie rzadką, a jeśli się wydarzy, to zwykle winowajcą jest jakiś przybysz z Zachodu. Chciałbym widzieć naszą ucywilizowaną ludność europejską pod takim rządem i w podobnych warunkach! U nas pomimo policyi, żandarmów, konstablów, nie ma nocy jednej, by w każdem większem mieście niebyło kilku lub kilkanastu wypadków gwałtu, rozboju, włamania i kradzieży, tu panuje spokój, ludność żyje z sobą w zgodzie, i przez cały czas pobytu mego na Wschodzie nie słyszałem o jednem zajściu, o jednej burdzie ulicznej. Pod względem moralnym jak wiele więc nasza cywilizowana Europa mogłaby się od dzikiej Azyi nauczyć! Powód tej różnicy pod względem moralnym łatwym jest do zbadania. Ludność tutejsza, lubo w niej krąży krew gorąca Wschodu, żyje nadzwyczaj skromnie, nie posiada potrzeb niemożliwych do dopięcia, umie swoje potrzeby zastosować do mienia, a nie odwrotnie, jak to się u nas dzieje. Przytem ziemia ta błogosławiona do sytu w te niezbędne zaopatruje ją potrzeby, a wymagań wyższych nikt tu nie stawia, co jest z pewnością najwyższą filozofią życia. Nasze społeczeństwo wiecznie niezadowolone ze swego bytu i mienia, chciwe używania zmysłowego bez granic, używania, którego mu środki materyalne niepozwalają, gorączkowo chwyta się wszelkich sposobów, które do tego używania wiodą. Przytem zamiłowanie szalonego zbytku, które od wieków było pierwszym objawem rozkładu narodów, wiedzie do jakiejś emulacyi potwornej, i wszelkie środki są dobre i godziwe, jeśli tylko wiodą do celu. Ztądto w społeczeństwie naszem te w przerażający sposób mnożące się klęski, ta istna rozkładowa gangrena, nieuczciwość, przeniewierstwa, kradzieże, morderstwa, ateizm, nihilizm, socyalizm i komuna. Tradycye wszelkie, u nas ze wzgardą podeptane, jeszcze na Wschodzie są aktem wiary. Tolerancya religijna istnieje tam w pełni dla najróżnorodniejszych sekt i wyznań, bo Alkoran bynajmniej wyznawcom swoim nienakazuje religijnej nienawiści. Ze wstydem dla Europy wyznać trzeba, że wielu nieszczęśliwych wygnanych z kraju własnego przez swe cywilizowane europejskie rządy z powodu wyznań, przez te rządy prześladowanych, tu pod znakiem półksiężyca znaleźli schronienie, i nikt im w wypełnianiu ich religijnych obrzędów nieprzeszkadza. Tradycye są tego powodem. Gościnność jest pierwszą cnotą mieszkańca Wschodu, dla tegoto każdy cudzoziemiec, każdy podróżny, jest tu bezpiecznym, jak pod skrzydłami anioła, bezpieczniejszym, jak mi to Midhat Pasza dobrze powiedział, niż na ulicach Pa-

ryża lub Berlina. Dla tego to podróż na Wschodzie niewymowny musi mieć urok dla każdego człowieka myślącego, dla badacza stosunków i dla psychologa. Powróci ztamtąd pewnie wzbogacony najciekawszemi spostrzeżeniami. Łudzić się wszelakoż nienalezy, ażeby to podróż była łatwa. Uciążliwą jest bardzo. Brak dróg komunikacyjnych i wszelkiego komfortu dla nieprzyzwyczajonego Europejczyka staje się bardzo dokuczliwym nieraz, gościnność i uprzejmość ludności tylko w części te niedogodności zastąpić zdołają. Klimat chociaż najpiękniejszy na świecie także ma swoje odwrotne strony. W życiu niezapomnę na pustyni odbytej trzydniówki, podczas której wiał wiatr ognisty, zwany „Hamsin“, przy którym włoski Sirokko wydaje się Zefirem, a nasza lipcowa kanikuła orzeźwiającym chłodem. Dla tegoto podobna wyprawa niebyłaby przyjemnością dla naszych zwykłych turystów, przyzwyczajonych do podróży koleją po miastach europejskich, dla których zazwyczaj podróż jest niejako inspekcyą najlepszych hoteli, teatrów i caffés-chantants. Taki podróżnik będzie tu istnym męczennikiem, będzie tęsknił za komfortem, do którego przywykł, będzie wiecznie narzekał na brak wygody, na złą kuchnię i brak czystości, a piękności i ciekawości kraju niezwrócą na siebie jego uwagi. Chcąc podróżować z przyjemnością i pożytkiem po Wschodzie, trzeba się wznieść nieco ponad te drobiazgi, którymi niestety do przesytu zajmujemy się w domu, słowem powinno się dbać więcej o pokarm ducha, niż o pokarm ciała. Opisy tylu turystów naszych i zagranicznych są tego dowodem, jak widok czarownych piękności Wschodu, pamiątek historycznych tej kolebki ludzkości zastąpić może brak codziennej wygody i brak czystości i porządku, na który umysł wyższy, zachwycony innemi pięknościami, uwagi nawet niezwróci. Tę różnicę określił jeden wieszcz arabski najlepiej w wyrazach: „Orzeł patrzy w słońce, a kaczka w błoto“. Że ten wyżej opisany stan niedługo już potrwa w tych krajach, o tem wątpić niemożna. Rozkład Państwa Ottomańskiego sprowadzić tu musi nowe żywioły, których przednie straże już swe cywilizacyjne dzieło rozpoczynają Czy to wyjdzie na pożytek tym krajom, przyszłość pokaże, co do mnie śmiem o tem wątpić, przypatrzyłem się bowiem pochodowi tych kulturtraegerów z nad Sekwany, Tamizy i Tybru. Pod pozorem cywilizacyjnej missyi, na własną korzyść wyzyskują dobroduszną ludność, która im wierzy i nawet sympatyą otacza. Nieprzynoszą tu oni dobrobytu, wypływającego z prawdziwej cywilizacyi, tylko zaszczepiają chęć zbytku, pragnienie potrzeb, których zaspokoić niepodobna. W ten sposób gotują szczęście dla przyszłych pokoleń tych krain.

Na zakończenie radbym jeszcze kilka uwag nakreślić o myśliwstwie tamtejszem. Co się tyczy grubego zwierza, który jak wiadomo przeważnie głębokie góry zamieszkuje, to o tem ani ja, ani żaden z moich towarzyszów nic stanowczego powiedzieć niemoże. Powód tego wypowiedziałem już poprzednio w moich sprawozdaniach. Wyprawa nasza składała się z grona miłych, wesołych, najsympatyczniejszych towarzyszy podróży, którym wszelakoż brak było zamiłowania myśliwskiego, jakiego utrudzająca wycieczka w góry wymaga. W skutek tego pierwotny plan naszej całej wyprawy już w zarodzie zwichniętym został, i prócz kilku polowań, odbytych na daniele w Akbes, ograniczyć się musieliśmy na drobnej zwierzynie, przeważnie na ptactwie. Wiemy już z historyi naturalnej i z licznych opowiadań tamtejszych mieszkańców, że w górach Libanu, Taurusu, Bulgar-daghu i Giaur-daghu znajdują się obficie koziorożce, muflony, niedźwiedzie, dziki, pantery, karakale, hyeny, szakale i mnóstwo innej zwierzyny. Nam niestety wystarczyć musiały opowiadania, bośmy się niemogli dostać w owe błogosławione regiony dla braku sił myśliwskich w naszem gronie. W skutek tego nikt z nas nie ma prawa najmniejszego wygłaszać zdania o zwierzostanie w Syryi, to każdy myśliwy pojmie z łatwością. Żeśmy się w tych warunkach prawie wcale nie lub bardzo rzadko spotykali z grubą zwierzyną, to jest rzeczą oczywistą. Gdyby naprzykład jakiś Francuz lub Anglik, słysząc o polowaniach naszych w Galicyi na dziki, wilki i sarny, przyjechał koleją do Lwowa, a potem pojechał dajmy na to do Winnickiego lasu, a przeszedłszy się po nim parę godzin ze strzelbą powrócił fiakrem na obiad do George'a czyż miałby prawo mówić, że w Galicyi nie ma zwierzyny, bo jej tam niespotkał? Równie śmiesznem byłoby i z naszej strony wypowiedziane zdanie o tamtejszem łowiectwie i o stanie grubej zwierzyny w górach. Nauczony doświadczeniem, myśliwych naszych do dwóch kategoryi zaliczam. Jest myśliwy żarłok — i myśliwy smakosz. Myśliwy żarłok jest jak ryś lub sokoł wiecznie spragniony krwi zwierzyny każdej, chciwy strzelaniny jak najgęstszej do czegokolwiek, i polowanie, im bardziej do rzezi podobne, tem dla niego ponętniejsze. Każdy prawie początkujący myśliwy zrazu jest takim żarłokiem, a u niektórych ta żarłoczność przeciąga się i w lata późne. Bardzo często zaś myśliwy krwią przesycony staje się z czasem smakoszem, lada jaka zwierzyna mu już niesmakuje, i strzelanina ciągła nie ma dla niego uroku. Otóż wyznaję, niestety, iż dziś, zestarzały na myśliwskiem polu, już jestem tylko smakoszem. Urok najwyższy ma dla mnie zwierzyna nieznana mi dotąd, i spotkanie z nią uważam za najwyższą przyjemność myśliwską. Dla tegoto polowania w Syryi do najmilszych moich zapisuję wspomnień, bo podobne spotkania wydarzały mi się codziennie prawie. Przytem jeszcze wyznać muszę, że bardzo mnie zajmował rodzaj tamtejszych polowań, lubo nieradbym się z nim kiedykolwiek spotkać w naszym kraju, i nikomubym go nie zalecał. Brak wszelkich praw myśliwskich i ochrony dla zwierzyny, przytem wolność i swoboda dla każdego strzelca, strzelanie wszystkiego i wszędzie, zapewne że to na stan zwierzyny fatalnie oddziaływać musi. A jednak ta swoboda dla europejskiego strzelca ma w Syryi urok wielki. Tu strzelec jest wolny, jakby okręt na morzu, buja kędy go nogi tylko poniosą. Przypomniało mi to polowania na stepach naszych Podolskich za moich lat młodych, gdy nie było dla myśliwego sąsiedniej granicy. Podczas pobytu mego w Lattakii dopiero tej przyjemności w pełni użyłem, uganiając z tamtejszymi strzelcami po pustyni do Snobar-Bende, aż ku stokom gór Dżebel-Akra, ciągle ścigając antylopy. O wiele obfitsze byłbym tam zebrał plony, gdybym niebył opuścił tych polowań dla uciążliwej nad wyraz wszelki i zawsze bezowocnej pogoni zawziętej za panterami i hyenami.

Lubo, pod względem polowania na grubego zwierza tę pierwszą wyprawę myśliwskiego towarzystwa polskiego uważać można za nieudaną, nie ma powodu, by się druga podobna wyprawa lepiej udać nie miała. Zapewne, zaprzeczyć niemożna zniewieściałości przestraszającej w dzisiejszem naszem pokoleniu, które niestety od rycerskiego usposobienia naszych przodków tak daleko odbiegło, ale wątpić nie trzeba, iżby się znalazło jeszcze w naszym kraju jakieś grono prawdziwie zamiłowanych i dzielnych myśliwych, któreby trudom podobnej wyprawy podołało.

Starałem się wedle możności nakreślić w tem sprawozdaniu trudności, z jakiemi każdy podróżny na Wschodzie walczyć musi, każdy się więc obliczyć może ze swojemi siłami, a byle miał zdrowe płuca, żelazne nogi, prawdziwie myśliwskiego ducha i zasób cierpliwości, to odbędzie wyprawę zdrów i cały, i wzbogacony w wrażenia na całe życie. Co do strony finan-

sowej, dodać tu muszę, iż pomimo tego, że się na wypadek zabezpieczyłem w kredytywę na bank w Beyrucie, gotówką wziąłem tylko 1700 złr., z których po czteromiesięcznym pobycie na Wschodzie, jeszcze 200 franków przywiozłem do domu, a z powrotem towarzyszył mi przyjęty przezemnie strzelec Arab. Na to jeszcze uwagę zwrócić muszę, iż przez stopniowy ubytek naszych towarzyszy koszta wyprawy rozpadały się na coraz mniejszą ilość członków, gdyby nie to, ów wydatek byłby jeszcze mniej znacznym. Pytam więc, gdzie i w jaki sposób możnaby tak małym kosztem użyć przyjemności tak dalekiej podróży? Gdyby się więc raz jeszcze jakie grono prawdziwie zamiłowanych myśliwych u nas zebrało, i bądź do Syryi, bądź w jaką inną okolicę Wschodu chciało przedsięwziąć łowiecką wyprawę, niewahałbym się ani chwili w niej uczęstniczyć, jeśliby tylko zdrowie i okoliczności pozwoliły, a nabytem tamże doświadczeniem mógłbym się może w niejednej mierze przysłużyć moim kolegom.

ZWIERZOSTAN CZECH.

Śród zwolenników Nemroda rozszerzają się coraz bardziej żale, że łowiectwo upada, zwierzostan widocznie się zmniejsza, a zawód myśliwski przechodzi na nieznających rzeczy dyletantów. Nie przecząc tej smutnej prawdzie, iż w istocie mianowicie na obszarach gminnych tak się dzieje, pozwalam sobie dla honoru mojej ściślejszej ojczyzny Czech, dla ocalenia czci myśliwych z zawodu, jakoteż licznych, prawdziwych zwolenników myśliwstwa, stanąć w ich obronie, występując z stanowczem twierdzeniem, że nie tak źle się u nas w tym względzie dzieje, jak o tem głoszą. Polowania gminne, lubo stanowią większą część obszarów łowieckich, nie będą przedmiotem moich wywodów, ponieważ tu zwykle nie tyle idzie o ścisłe zachowanie przepisów myśliwskich i o hodowanie zwierzyny, ile raczej o staranne wystrzelanie summy dzierżawnej, wolę przeto mówić o polowaniach na obszarach większych właścicieli.

Od lat czternastu oddaję się, co zresztą od wielu pokoleń dziedziczną jest właściwością mego rodu, szlachetnemu zawodowi myśliwskiemu, nie dla materyalnych korzyści, lecz raczej dla krzepienia ciała i ducha, i miałem sposobność cały nasz, umiłowany przez św. Huberta kraj, dokładnie poznać, mogę tedy śmiało mówić o zwierzostanie i stosunkach łowieckich Czech.

Rozpoczynając rzecz od wyższych łowów, wspomniemy naprzód o królu zwierzyny łownej, jeleniu. Jakkolwiek w fatalnym dla myśliwstwa roku 1848 najpiękniejsze ostępy tego szlachetnego zwierza były prawie zupełnie wyniszczone tak, iż ów zwierzostan zaledwie po długim czasie nieco się podniósł, to jednak nadbrzeżne wyżyny gór mieszczą w sobie wspaniałego jelenia w znacznej dosyć liczbie, a nawet w większych, zwartych rewirach znaleść można tę szlachetną zwierzynę. Przedewszystkiem wymienić tu należy leśnictwo Teczyńskie, którego rewiry liczą nie mało tej zwierzyny. Wieńce tamtejszych jeleni nie ustępują wcale najpiękniejszym węgierskim. Obok tych godne wspomnienia rewiry Teplickie, Nowomiejskie, Duxeńskie czyli właściwie Oberleutensdorfskie, następnie rewiry Rothenhaus wzdłuż gór kruszcowych, bogate w zwierzostan. Również większa posiadłość Heinrichsgrün i inne sąsiednie, mają jeszcze stale przebywającą zwierzynę lubo w mniejszej, jak niegdyś liczbie. Przejdźmy do Czeskiego lasu, o nim nie możemy niestety równie pomyślnych podać wiadomości. W północnej jego części, mianowicie w posiadłości Tachau, następnie w rewirach Mayerhöfen, jest nieco szlachetnej zwierzyny, a nawet krasnych jeleni, ale natomiast nie mają jej prawie wcale rewiry ku południowi posunięte, należące w większej części do księcia Schwarzenberga. W najnowszych czasach miał tam właściciel założyć tymczasowy zwierzyniec z zwierzyną szlachetną w celu rozmnożenia jej i rozszerzenia w niezmiernie rozległem, górskiem leśnictwie. W tej okolicy wytępili, jak podanie głosi, szlachetną zwierzynę przed wielu dziesiątkami lat, bawarscy osadnicy, którzy do obrabiania drzewa bywali sprowadzani. Zdaje się, iż oni więcej pracowali strzelbą, jak siekierą. W południowych Czechach, u granicy wyższej i niższej Austryi, znajduje się mianowicie w rewirach: Gratzen, Wittingau, Chlumetz i Nauhaus przeważnie piękny zwierzostan. Mniej jest pomyślnym w górach południowo-wschodnich, graniczących z Morawią, tylko sporadycznie trafia się tam szlachetna zwierzyna. Lepiej dzieje się na wschodzie, gdzie wysokie położenie i rozległe obszary lasów dostarczają zwierzynie ochrony i spokoju. W graniczących z hrabstwem Glatz częściach kraju znajdujemy wszędzie, lubo w niewielkiej liczbie i często tylko przechodowego jelenia. Jeszcze pomyślniejszy stan rzeczy jest na północnym wschodzie, w górach olbrzymich i Iser n. p. w rewirach posiadłości Reichenberg i Friedland, a szczególnie w Cz. Kościelcu. Zatem co do ogółu kraju zaiste mogę śmiało twierdzić, że gdzie jest kilka tysięcy morgów lasu zwartych, gdzie właściciele ich są prawdziwymi myśliwymi, tam pewnie znajduje się szlachetna zwierzyna, lub też może być hodowaną.

Przedewszystkiem winienem wspomnieć o znakomitym zwierzostanie w Lana i Pürglitz, gdzie na rykowisku staje około 200 jeleni. Dobry zwierzostan jest również w rewirach Dobrzysz, gdzie w zespoleniu z sąsiedniemi posiadłościami ogromny obszar lasu otoczono ogrodzeniem, co się też w ostatnich czasach stało w różnych miejscowościach w celu zapobieżenia szkodnictwu jakoteż staranniejszego pielęgnowania zwierzyny. Nadmienić tu muszę, iż dotąd mówiłem tylko o zwierzynie na wolności, zwierzyńce, których tu jest wiele, nie mogą wejść w to sprawozdanie.

Posiadłości Worlik, istne eldorado dla myśliwych, ma także bardzo pomyślny stan zwierzyny szlachetnej na swobodzie. Za dalekoby mnie to zawiodło, gdybym chciał z całą dokładnością rzecz przedstawić, więc tylko dodam, że gdzie u nas szlachetna zwierzyna stale się trzyma, może na długi czas pozostać, chybaby ją jakieś niepomyślne stosunki miejscowe wypłoszyły.

Przejdźmy teraz do następnej w szeregu szlachetnej zwierzyny, do danieli. Tu nadmienić należy, że znajduje się ona u nas przeważnie w zwierzyńcach, a nawet nie wielka jej liczba na swobodzie żyjąca należy albo do takich, które się z zwierzyńców wymknęły, lub do puszczonych z nich na wolność. W rewirach Heiligenkreutz znajduje się wiele danieli,

również w rewirach Lanczin i w niewielu innych miejscowościach. Jak wiadomo daniele najlepiej hodują się w zwierzyńcach, przyrost bowiem jest zawsze znaczny, a zwierzyna ta nie potrzebuje bardzo obfitego pożywienia, znam nawet małe i wysoko położone zwierzyńce, gdzie samce, ważące 120 do 130 funtów wied. nie są rzadkością.

Przechodząc do dzików, muszę nadmienić, iż zwierzyny tej u nas na swobodzie wcale nie ma, i tylko znajduje się w niewielu zagrodach, z tego też powodu w krótkości o tem się rozprawię. Jeśli jest dostatecznie przez cały rok żywioną, a nie poluje się na nią podczas rui, to można mieć zawsze dobre rezultaty. Czechy wszakże nie nadają się do hodowli dzików, nie ma w nich bowiem dosyć żołędzia.

Przystępujemy do sarn, pole to chwała Bogu nader obszerne. Czytelnik uwolni mnie łaskawie od wyliczania wszystkich rewirów czeskich, bogatych w zwierzostan sarni, byłabyto rzecz za obszerna, wspomnę więc tylko, że to cośmy wyrzekli wyżej o stanie szlachetnej zwierzyny, mniej więcej i do sarn się odnosi. We wszystkich nawet jakotako ochranianych i prawdziwie po myśliwsku prowadzonych rewirach, na obszarze choćby tylko kilkuset morgów, mamy wiele sarn zwłaszcza, gdy sąsiedztwo jest nieszkodliwe. Nawet w stromych górach znajdują się sarny, jeżeli w zimie bywają żywione. Znam okolicę w wschodniem pasmie gór na granicy szląskiej, gdzie stan sarn w skutek rozmaitych niekorzystnych warunków tak się zmniejszył, że ani podjazd ani polowanie się nie udawały. W ciągu sześciu lat żywieniem, ochroną i dzierżawieniem sąsiednich pól podniesiono stan sarn do dzisiejszej wcale okazałej liczby mimo niekorzystnych, śnieżnych zim, mimo właściwego sarnom popędu do wędrówki w wczesnej wiośnie, przez co nie jedna z nich zabłąka się na podgórzach i w zaroślach polnych, i nie wraca już, mimo nakoniec prześladowań lisa i kuny. Przy tej sposobności pozwolę sobie nadmienić o znaczeniu żywienia liściem. Zbiera się go w Lipcu na zrębach i młodych zapustach, suszy i poddaje w późnej jesieni. Krzew jeżynowy i malinowy daje sarnom wyborne, zdrowe i silne pożywienie, a przytem nader tanie, bo go nikt nie kradnie. Toż samo da się powiedzieć o olszynie. W krótkości wspomnę jeszcze o najlepszych rewirach sarnich Czech, a przytem nie mam wcale zamiaru wyliczyć wszystkich, ale głównie wskażę miejscowości, gdzie kozły noszą najpiękniejsze rogi. W ogólności silniejszymi są kozły w rewirach górskich, natomiast w rewirach nizinnych mają kozły piękniejsze rogi, naturalnie i tu miejscowe stosunki stanowią o wyjątkach. O ile mi wiadomo, nie ma okolicy w Czechach, w którejby kozły przeciętnie piękniejsze nosiły rogi, jak w rewirach posiadłości Dymokur, Adlerkosteletz i Lanczin. Jest wprawdzie w rewirach górskich nie jeden silny rogacz z wspaniałemi, wysokiemi gałęziami, którego widok na podjeździe serce prawdziwego myśliwego do gwałtowniejszych uderzeń pobudza, ostatecznie jednak ustąpić muszą pierwszenstwa rogaczom zrodzonym i wychowanym w lasach liściastych, na nizinach. Nadmienić jeszcze muszę, że nie ma nigdzie lepszego stanu sarn, jak w miejscowości wyżej wspomnianej. Na podjeździe śród lata widziałem tam w przeciągu nie więcej jak jednej godziny 13 sztuk, a na jednem stanowisku wieczorem strzelano do trzech rogaczów. Wspomnienia godnym jest także stan sarn w rewirze Czeskiego lasu Tachau. W porze b i e g a n i a na jednym podjeździe padało tam z ręki jednego strzelca sześć, a nawet ośm rogaczów, i rzadko się zdarzy, by przynajmniej jeden albo dwa kozły nie wypadły. Również najbliższe, tyle urocze sąsiedztwo czeskiego Windsoru, Frauenberg, roi się od sarn, 10 do 20 rogaczów na rozkładzie w jednym jesiennym dniu polowania jest tam rzeczą zwykłą. Także w południowej części Czeskiego lasu jest piękny stan sarn. Pominąć też nie mogę dobrze zaludnionych rewirów sarnich Worlik, Smeczna, Chlumec, Czernowic, Lana i Pürglitz. Średnich i małych stanów jest bardzo wiele, a jako przemykająca znajduje się sarna prawie wszędzie.

Wspomniawszy o szlachetnej zwierzynie Czech, pozostaje mi dać wiadomość o ptactwie, do tejże kategoryi wyższego myśliwstwa należącem. Któremuż prawdziwemu myśliwemu żywiej tętno nie uderzy, gdy budząca się ze snu przyroda najwyższą rozkosz łowiecką mu przynosi, gdy śród ciszy wysokiego lasu wysłuchuje, i dojdzie wreszcie ucha jego wspaniały głos tokującego głuszca! Właściwa w tym głosie kryje się poezya, której nikt nie rozumie, kto nie nosi w duszy swojej cechy św. Huberta. W lasach czeskich znajduje się prawie wszędzie *tetrao urogallus*, wszędzie w lasach większych, zwartych, pożądany bowiem dla niego bardziej jak dla każdej innej zwierzyny spokój. Płochliwym jest i dzikim, a przedewszystkiem unika odgłosu siekiery i ludzkiej wrzawy, szuka więc ciszy i odosobnienia zwłaszcza w porze zalotów, a zmiany w drzewostanie wypłaszają go bezzwłocznie. Najpiękniejszy stan głuszców jest u nas w południowym Czeskim lesie, następnie w rewirach Hirschberg, Lana i w niektórych górach kruszcowych. W pobliżu Pragi godne wspomnienia tokowiska są posiadłości Mniszek. W dzierżawach książąt Schwarzenbergów pada rocznie około 100 głuszców. Na nizinach prawie ich nie ma i oddają je w posiadanie mniejszemu swemu pobratymcowi, o którym z kolei mówić mamy. Cietrzew wiedzie wesoły swój żywot śród wielu rewirów naszego kraju, w żadnej prawie okolicy nie brakuje go, nigdzie wszakże w większej liczbie, ma on bowiem także swoje kaprysy, i wybrednym jest w wymaganiach, ale nie są one przesadne, przeciwnie liche drzewostany, piaszczysta sośnina, wszosowina, torfowiska są ulubionem jego miejscem pobytu. Lubo tokowiska cietrzewie nie mogą na równi być postawione z tokowiskami jego wspaniałego krewniaka, to jednak uroczemi one są dla myśliwych, a piękny poranek przepędzony w budce z widokiem na grających lub wesoło podskakujących i walczących cietrzewi, należy do chwil najpowabniejszych w życiu łowieckiem. Ród cietrzewi ma tę właściwość, iż w niektórych miejscowościach pojawia się w większej liczbie, w przeciągu kilku lat przerzadza się, lub wcale znika, i niespodziewanie zjawia się w innem miejscu. To zjawisko usprawiedliwiają może zmiany w drzewostanach, mianowicie zagajania próżni lub wyłomy. Najliczniejszym jest stan cietrzewi, ile mi wiadomo, w rewirach Benatek, Hirschberg i Lana, następnie w rewirach książąt Lichtensteinów w Czarnym Kościelcu i Bechowicach. W ogólności chętniej zamieszkuje cietrzew niziny, w górach zaś nigdzie nie ma go w znaczniejszej liczbie.

Strzegąc myśliwskiego obyczaju, muszę jeszcze w rozdziale o wyższych łowach wspomnieć o osławionem w naszym kraju ptactwie, którego kolebką ma być daleki wschód, o bażancie *(phasianus colchicus)*. Przepysznie upierzone to zwierzę ma zaletę znaną najwybredniejszym smakoszom, a nasze bażanty używają w tej mierze sławy światowej. Jakkolwiek przyznać należy, że bażant zasila niejedną nader szczupłą rubrykę łowiecką, wszakże około Bożego Narodzenia para dobrze oblanych bażantów ceni się w większych miastach do 8 guldenów; to jednak łowy na nie należą do podrzędnych, albowiem wielkich rozmiarów hodowla bażantów, a w następstwie wielkie polowania na nie według miary Francyi i Anglii są u nas nieliczne, koszta bowiem nie wyrównają przyjemności. Nie

każdy może sobie pozwolić tak zbytkowego polowania. Inaczej rzecz się ma z tak zwanymi dzikimi bażantami, które przy polowaniu na zające się pojawiają, i rozkład zapełniają. Takie polowanie jest mniej kosztowne i więcej poruszające. Dobre stany dzikich bażantów są w wielu rewirach czeskich, i sprawiają na łowach jesiennych wiele uciechy. Ponieważ większe zwierzęta drapieżne u nas od dziesiątek lat są zupełnie wytępione, więc wyczerpałem już przedmiot wyższego myśliwstwa, przechodzę przeto do niższego.

Wykazawszy w powyższej części tej rozprawy, że myśliwstwo wyższe w Czechach mimo przeszkód spowodowanych postępem leśnictwa i rolnictwa, do rzędu najlepszych policzyć należy; będzie teraz zadaniem mojem toż samo wypowiedzieć o mysliwstwie niższem. Twierdzić nawet mogę, że to ostatnie u nas stosunkowo jest lepszem, więcej tu bowiem odbywa się pomyślnych polowań na zające i kuropatwy, jak na sarny i jelenie, a to z tej prostej przyczyny, ponieważ one znacznie mniej wyciągają kosztu i mniejszej wymagają przestrzeni. Jakkolwiek bowiem dobry stan zajęcy nie małą czyni szkodę, to jednak dosyć jest sposobów zapobiegania temu złemu, a tak dobry stan zwierzyny szlachetnej zawsze o wiele jest kosztowniejszym. Dając następnie obraz zwierzostanu niższego łowiectwa, nie mogę trzymać się metody niejako topograficznej, użytej w powyższym rozdziale, bo ściągnąłbym na siebie słuszny zarzut monotonności. Wyliczę przeto po kolei wszystkie rodzaje zwierzyny nie zwracając uwagi na miejscowości. W ogólności muszę nadmienić, że niższe łowiectwo w stromych i wysoko położonych okolicach górskich wzdłuż granicy Czech, jak wszędzie w górach, podrzędne ma znaczenie, rzadko bowiem się udaje hodować tam zająca i kuropatwy z pomyślnym skutkiem. Wszakże są knieje w górach kruszcowych i olbrzymich, w których zając o wiele jest rzadszym, jak kozioł lub jeleń. Kuropatwy w górach okazują popęd wynoszenia się w porze jesiennej w cieplejsze, niższe sfery, mogą być przeto uważane tam za ptactwo przelotne. Że nie każda z nich na wiosnę powraca, starają się o to myśliwi nizin. Co do zająca, na każdym kroku prześladowanego, to nie ma może pod tym względem kraju bogatszego, jak Czechy, ponieważ klimat, położenie i właściwości ziemi wielce mu sprzyjają, toż wszędzie znajduje się u nas kopyra w mniejszej lub większej liczbie, nawet nadzwyczajna pożądliwość zwierzyny niektórych dzierżawców polowań nie zdoła go wytępić. Najwięcej zajęcy znajduje się podobno u środkowej Elby, jakoż najpiękniejsze rewiry zajęcze są tam, i można twierdzić, że niewielkie gaje sosnowe, polami poprzecinane, najulubieńszem są siedliskiem zajęczem. Lubo nie jest zając wybrednym co do żeru, umie on jednak wyszukiwać najsmakowitszy, więc zapędza się w okolice, gdzie najwięcej kapusty i rzepaku. Wielkie, zwarte lasy omija, bo chętnie trzyma się pól. W rewirach dobrze zagospodarowanych najlepiej mu, więc dają też one najpomyślniejsze polowania. Wyliczaniem wszystkich dobrych rewirów zajęczych w Czechach możnaby prawie folianty zapełnić, przytoczę więc tylko najznakomitsze. Na czele wymienić muszę rewiry Petersburga i Schönhofu, gdzie zwłaszcza w sławnym Eichbergu zawsze prawie przeszło 1000 zajęcy dostaje się na rozkład. Następnie przyłączają się wyborne polowania w Bischofteinitz, szczególnie Horszawskiego zwierzyńca, gdzie 5 do 7 myśliwych bije znacznie więcej jak 1000 zajęcy, kuropatw i bażantów w kilku godzinach. W ogóle najlepsze polowania odbywają się u nas w niewielu myśliwych, najczęściej 3 do 7 i to na buszowanego. Polowanie zajęcze, mianowicie na buszowanego w lesie i w polu z rezultatem 600 do 800 zajęcy są wprawdzie rzadkie, ale w Chlumec i innych dosięga się corocznie owej liczby, tu też należą sławne łowy leśne w Unterberzkowicach, w rewirze Citowickim, gdzie na obszarze stosunkowo małym pada w każdym roku niezmierna liczba zajęcy, z 6 do 8 uczęstniczących myśliwych bije 3 do 4 prawie zawsze przeszło 100 zajęcy, inni nie wiele mniej. Takiej liczby dosięgają zwykle także piękne polowania w Zleb. Zajęcze łowy z rezultatem 400 do 600 sztuk na dzień są już częstsze, mianowicie w Münchengraetz, Wosow, Smeczna i innych.

Przy dawniejszej metodzie polowania kociołkowego w polu, które szczególnie bywa tam używane, gdzie mniej nagonki, ale za to więcej myśliwych, często także osięga się dobre rezultaty, ale mniej tu ma przyjemności każdy z myśliwych. Liczne są u nas polowania na zające, w których 200 do 400 sztuk w jednym dniu pada tak w lesie jak w polu, a należą one w miarę liczby strzelców do najprzyjemniejszych, jeżeli bowiem 3 do 4 *gunsów*, jak strzelców w Anglii nazywają, biją w kilku godzinach 3 do 400 zajęcy, to przyjemność pewnie nie jest mniejszą, gdy takaż liczba padnie z 8 do 10 strzelb. Polowanie na zające z mniejszym rezultatem jak 200 sztuk w jednym dniu odbywają się corocznie w tak wielu rewirach czeskich, iż do świetniejszych policzone być nie mogą, w każdym bowiem nieco lepiej prowadzonym rewirze na przestrzeni kilkuset morgów, nawet w okolicach bardziej górzystych, można urządzić bez kosztu polowanie z rezultatem 150 do 200 zajęcy. Jeżeli miejscowość jest odpowiedniejszą, to polowanie na buszowanego bardziej wiedzie do celu, a przytem zaszanują się samice, które jak wiadomo twardo dosiadują i z tego powodu często przez nagonkę się przebijają. Polowanie z nagonką powinno się tam tylko odbywać, gdzie miejscowość buszowania nie dozwala, albo gdzie się zakłada na lisa i rogacza, a zajęcy mało, jak to bywa w górach. Stan powietrza na wiosnę zapowiada zawsze, jaki będzie rok na zające, ponieważ marczaki często jeszcze w późnem lecie parkocą się, a jakkolwiek statystyka łowiecka nie bardzo pewne podaje cyfry, można jednak śmiało twierdzić, że bije się w Czechach corocznie 4 do 500.000 zajęcy. Zresztą można zapewnić, że wartość ich wynadgradza ubytek w owocach polnych, jakiego zające stają się powodem, a zresztą przyjemność wymaga także zapłaty.

Prawdziwemu myśliwemu, któremu nie idzie jedynie o próżne strzelanie, sprawia polowanie na kuropatwy stanowczo więcej uciechy, jak zajęcze, szczególnie tam, gdzie inna zwierzyna nie wychodzi na strzał. Osobliwie odnosi się to twierdzenie do szukania z wyżłem, takie polowanie jest niezawodnie najbardziej poruszające. Ponieważ kuropatwę trudniej ubić, jak zająca, przeto mniej więcej zabezpieczoną ona jest od strzałów łakomych dzierżawców polowań gminnych, i z tego powodu znajduje się w znaczniejszej liczbie nawet tam, gdzie zające prawie do nogi wybito. Mało też jest okolic w Czechach, w których wcale nie ma kuropatw, nawet na wyżynach się znajdują, w skrajnych tylko górach naszych są rzadkością, wynoszą się bowiem w jesieni na niziny, jak już wyżej powiedzieliśmy. Przy jakiemtakiem ich hodowaniu osięga się bardzo dobre rezultaty, a bywają rewiry, gdzie na buszowanego bije się z łatwością kilkaset sztuk tej zwierzyny. Takie polowanie odpowiedniejsze jest dla większej liczby myśliwych, ponieważ mnogość kuropatw bałamuci wyżła, i traci się czas. Szukanie więcej się nadaje do mniejszego stanu kuropatw. Najwięcej kuropatw pada corocznie w ogromnych remizach w Bischofteinitz, Zleb, Benatek i innych. Gdy szkoda, jaką kuropatwy czynią w polu, jest prawie żadna, to nie ma powodu, dla czegoby ich nie należało hodować i w porze silnych mro-

zów żywić. Bardzo godnemi polecenia są remizy, aby świeży lęg ochronić od ptactwa drapieżnego i niepogody.

Z naturalnej kolei rzeczy przyłącza się do kuropatwy przepiórka, gdy wszakże ona jest właściwie ptakiem przelotnym, a u nas nie bardzo pospolitą, to nie widzę potrzeby obszerniej o niej mówić. W porze przelotu znajdują się na nizinach prawie wszędzie, nigdzie wszakże w większej liczbie, więc biją się przepiórki zwykle na polowaniu kuropatwiem. W okolicach wyżej położonych więcej ich bywa, a w górach zdarza się często, że myśliwy więcej znajduje przepiórek, jak kuropatw, mianowicie tam, gdzie się wywodzą. Niektóre lata są dla przepiórek przyjaźniejsze, i sam doświadczyłem, że w górach stanowią one nie zbyt mały dodatek do poprzedniejszych polowań kuropatwich.

Przejdźmy do szlachetnej słonki. Pociągający ten tak silnie każdego myśliwego ptak niestety nie jest nigdzie u nas licznym, tu góry przeważają nad nizinami. W ostatnich ani na wiosnę, ani w jesieni nie bywa ich wiele, i nigdzie umyślnie na słonki urządzone polowanie się nie wypłaca, nawet w górzystych, lesistych okolicach przebywa słonka tylko odosobniona lub w parze, a co do mnie, nie znam miejscowości w Czechach, gdzieby można czy to na ciągu, czy też na polowaniu lepsze wykazać rezultaty. Nawet Morawia góruje pod tym względem nad nami, nie wspominając już wcale o Kroacyi i południowych Węgrzech. Musimy się przeto skromnie ograniczyć na małej liczbie owych tęsknie wyczekiwanych długodziobów, jakie nam się najczęściej tylko przy sposobności jesiennych łowów dostają. W lasach bagnistych skrajnych gór bywa ich najwięcej, ale z powodu gąszczów i rozległości rewirów niemożliwem jest prawie spotkanie się z niemi na strzał.

Jeszcze gorzej rzecz się ma z kszykami. Gdybyśmy nie mieli relacyi z innych krajów, moglibyśmy sądzić, że ów rodzaj zwierzyny wyginął już zupełnie. Z każdym rokiem zmniejsza się ich liczba, a w najlepszych dawniej miejscach zaledwo pojedyńcze znajdują się okazy.

Gdyśmy już na błotach, to łatwy przechód do wód. I tu nie wiele mogę powiedzieć pomyślnego, dzikie bowiem kaczki nikną u nas widocznie. Są wprawdzie jeszcze u nas okolice bogate w wody, szczególnie w południowych Czechach, gdzie rozległe stawy dostarczają zwierzynie wodnej ochronnej siedziby, w ogólności jednak kaczki w Czechach nie są pospolitemi. Najprawdopodobniejsza tego przyczyna jest wyzyskiwanie trzciny wodnej na cele gospodarstwa rolnego, a staje się ono coraz powszechniejszem, i naturalnie wypłasza całkowicie kaczki. A jednak żal serdeczny przejmuje, że ten rodzaj polowania tak upada. Z wyjątkiem niektórych dobrych polowań na kaczki jak w Chlumetz, Kopidlno, Wittingau, Frauensberg i niewielu innych, na których bije się po kilkaset łysek, nie ma w ogóle polowanie wodne w Czechach większego znaczenia. W niektórych miejscowościach możnaby lepsze osięgnąć rezultaty, gdyby się nie pomijało właściwej pory polowania, mianowicie krótkiej pory, 8 do 10 dni trwającej, przejścia podlotów do zupełnej lotności. Pora ta przypada u nas zwykle w połowie lub w końcu Lipca, i jestto jedyna chwila, w której na krzyżówkach dobre można robić interesa. Inna zwierzyna wodna, jak dzika gęś, czapla i łabędź jest u nas tak rzadką, że ją bez wahania pominę.

Z ptactwa pozostaje jeszcze jarząbek *(tetrao bonasia)* jako wspomnienia godny. Najmniejsza owa kura leśna jest wprawdzie w wszystkich bardziej górzystych okolicach Czech dosyć pospolitą, nigdzie wszakże nie znajduje się w większej liczbie. Nawet tam, gdzie bywa troskliwie hodowaną i gdzie się ją starannie od wszelkiej napaści chroni, nie udaje się znacznie pomnożyć jej stan, a tem mniej osięgnąć na polowaniac lhepszch rezultatów. — Powód tego szczupłego stanu owej zwierzyny leży w części w nieustannem prześladowaniu, jakiemu ona podlega, następnie w zwyczaju kur budowania gniazd swoich przy wydeptanych drogach; z drugiej strony ma w ich rodzie być wiele więcej kogutów, jak kur, przezco ostatnie jałowieją. Bądź co bądź niemamy pomyślnego stanu tej zwierzyny na srogie utrapienie smakoszów, którzy mięso jarząbka uważają jako jeden z najwytworniejszych przysmaków.

Wabienia w czasie parzenia się u nas nie używają chyba z powodu niedostatku odpowiednich przyrządów, a jednak ma to być najlepszy sposób polowania, bo z nagónką na jarząbka polować nie można absolutnie, a wypłoszony tak się wzbija w górę, że nie łatwo go dostrzedz.

Z drapieżników, należących do niższego łowiectwa, aby czytelnika nie nużyć, wybiorę najbardziej interesującego, chytrego mekitę. Lis jest w Czechach jeszcze dosyć pospolitym wszędzie, gdzie może swe jamy budować. W dobrze zagospodarowanych nizinach jest już wprawdzie wcale rzadkim, ale nie prędko on i tam wyginie. Jakkolwiek lis w niższym zwierzostanie dotkliwe czyni szkody — dla sarn groźnym jest tylko w czasie długotrwałej zimy, gdy nic innego złowić nie może — to jednak z radością widzi go dobrze uzbrojony myśliwy sznurującego, i zabije owego przemądrego złodzieja nie tyle w celu przerwania jego złoczyństwa, ile z tego powodu, że ma do czynienia z tak przebiegłym i podstępnym jegomością. Można tedy śmiało twierdzić, że z żalem widziałby a nas każdy prawdziwy myśliwy zupełne wytępienie lisa, bo spotkanie z nim należy do najwyższych łowieckich uroków. Niewiele znajduje się w Czechach miejscowości, gdzie jeszcze dużo pozostało lisów w tej mierze, iżby osobno na nie urządzano łowy, nawet w górach nie ma znaczniejszej ich liczby, nadto bowiem są prześladowane, iżby mogły się rozmnożyć. Największą sobie szkodę czyni lis tem, że się z całą ścisłością trzyma własnych dróg, zwłaszcza młody lis łatwo może być ubity, bo się z łatwością da napędzić.

Ponieważ mniejsza czworonożna, drapieżna zwierzyna mniej obudza łowieckiego interesu, i wszędzie w równej mierze u nas się znajduje, pozostaje mi przeto tylko ptactwo drapieżne. Nie mamy go, chwała Bogu, w takiej obfitości, jak dawniej. Niech uczeni ornitologowie przywiodą powody, to jednak pewne, że coraz mniej u nas owych drapieżników przeciąga. Orły są u nas rzadkimi gośćiami, puhacz zdarza się tu i owdzie w lasach skalistych, nigdzie wszakże gęsto. Również większe sępy są rzadkimi, jakoteż sokoły, tylko drobniejsze drapieżniki są pospolitymi. Jednak czasy, w których z budki ubijano w przeciągu godziny 5 do 10 sztuk drapieżników, na szczęście zajęcy i kuropatw już dosyć dawno przeminęły.

Wykazawszy zda mi się dostatecznie, że w rewirach czeskich jeszcze proch i ołów są niezbędnie potrzebne, mianowicie ze względu na zwierzynę najgłówniejszą — kończę serdecznem pozdrowieniem łaskawego czytelnika.

C. E. (Jagdzeitung). Tłum. J. Ł.

NA BŁOTACH BEŁZKICH

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Po okwitnieniu łodygi pojawia się mnóstwo szkarłatnego koloru jagódek z niemiłym zapachem i gorzko słodkim smakiem, chciwie pożeranych przez wróble trzcinowe, sikory, czyże, w ogóle przez drobne ptactwo, które się tam podówczas hurmami gromadzi. Wysepki te są pływającemi ostrowami, zwanemi tam *spławami.* Często same wyrastają na środku rzeki, zwykle jednak oderwawszy się od brzegu, płyną swobodnie wzdłuż rzeki, nieraz mieszcząc w sobie gniazda wróbli trzcinowych, pokrzywek, kurek wodnych, łysek, a nawet i kaczek. Podpłynąwszy pod taką wysepkę byłem pewnym, że dalsza żegluga się skończyła, a widząc, że za nią rzeka dalej płynie, więc nic nie mówiąc Wasylowi, który w tej chwili głęboko się był zadumał, wychodzę z czółna i wstępuje na wysepkę, która poczęła się trząść, chwiać, bełkotać wodą. Po drugim kroku wpadam w toń pod pachy, na mój krzyk przypadł Wasyl i bez ceremonii za czub, chwała Bogu do dziś gęsty, wyciągnął mnie z topieli jakoby kawał drzewa, wciągając w czółno. Przez chwilę obadwaj nie mogliśmy z przerażenia słowa wymówić, pierwszy mruknął Wasyl: „A to trza być durnym, aby coś podobnego zrobić, taże po takiej spławie i sobaka chodzić się boi, bo tam śmierć, pan zmoczony wracajmy, do domu“. Ale ja protestowałem zapewniając, żem z przestrachu już ochłonął a z przemoczenia pewnie nie zachoruję, bom nawykł do takiej kąpieli. Upierał się Wasyl przy swojem jak kozioł, alem go w końcu ugłaskał, że stanęło na mojem. Ale jak się wydobyć z tej matni, dowiedziałem się zbyt dotkliwie, że pieszo nie można, przepchać się czółnem przez wysepkę niepodobna, wreszcie uradziliśmy, że trzeba przybić do brzegu i przeciągnąć czółno rękami aż do czystej wody. Raźnie wzięliśmy się do pracy, on z przodu ciągnął, jam z tyłu popychał tak szczerze, że mi aż oczy na wierzch wyłaziły. W godzinę ledwo spuściliśmy czółno na wodę. Mimo znużenia nie mogłem powstrzymać śmiechu widząc siebie i Wasyla powalanych czarnem błotem. Wyglądaliśmy jak pińskie, błotne diabły. Wykąpawszy się, wypocząwszy i posiliwszy, ruszyliśmy na dalszą wędrówkę, pełną dla mnie nader ciekawych zjawisk. Dalej koryto rzeki znacznie się rozszerzało, wyglądało jakoby spore jezioro z kilku kępami w środku, porośniętemi wysoką trzciną i rogożą, a miejscami pływały na powierzchni wody olbrzymie liście tak zwanego *momyczu (lotusblume)*, ale najpiękniejszym był kwiat paliowo biały, a świeżo rozkwitły jasno-żółtego, połyskującego koloru, wynurzający się z wody w postaci małego kielicha. U brzegów kęp rosło mnóstwo lilii wodnych, białego lub kanarkowego koloru, na ich wierzchu zaś rosła jakaś roślina wysoka, najzupełniej podobna do sitnika, pokryta pięknym, blado różowym kwiatem drobnym. Oprócz momyczu, którego kilkustopowej szerokości jasno-zielone i mięsiste liście mają być skutecznem lekarstwem na ból głowy, a szczególnie na zapalenie oczów, oprócz kilku kęp, z których jedna nawet dosyć duża, były wody jeziora czyste i niezbyt głębokie z mnóstwem ponad nie latających nimf wodnych, motyli z przecudną szafirową lub złocistą barwą. Wiele jaskółek uwijało się też ponad samem zwierciadłem wody na pozór stojącej, w przelocie łowiąc owe nimfy lub biegające po wierzchu owady. Czasami tu, osobliwie o świcie lub przed wieczorem ryba umykająca przed pogonią drapieżnego szczupaka lub suma wypryśnie w powietrze, czem stara się zmylić ślad swój. Często czynią to ryby, szczególnie płocie dla igraszki, niekiedy też w celu pochwycenia komara lub ćmy, wieczorem ponad samą wodą przelatujących. Cała ta ustroń, okolona wysokiemi trzcinami lub bujną łoziną, była cudną, uroczą, oryginalną. W krzakach łozowych spiewały pokrzywki, wróble trzcinowe i inne drobne ptaszęta. Zatrzymawszy się przy jednej z kęp dłuższy czas, zachwycałem się tem wrażeniem, puściwszy wodze wyobraźni mieniłem te wody jeziorem rusałek, widząc okiem ducha ich pląsy i igraszki. Lud wyraża pojęcie swoje o takich rusałkach, nazywając owe błękitne lub złociste motylki „pannami wodnemi“, twierdząc, iż one szczególnie podczas nocy w panny, igrające nad powierzchnią wód, się zamieniają. Wasyl obudził mnie z tego snu uroczego wystrzałem z pistoletu do łyski, którą chybił, poczem z gniewem rzucił go mówiąc: „Ktoby tam strzelał z takiej świniej nogi“. Kiedym energicznie począł bronić sławy mego huzara, rozsierdzony radził mi ofiarować pistolet kowalowi na kłódki, a wreszcie wezwał mnie do zaprzysiężenia swojej tajemnicy, bo prostemu zapewnieniu nie wierzył. Nie pamiętam już roty owej przysięgi, ale były tam między innemi słowa: „szczobym ruki, nohy połomyw, chrestu światyj, szczobym nykoły ne buw spasen“ i t. d. w końcu kazał mi oczekiwać wyjawienia tajemnicy w pewnem miejscu, do którego poczęliśmy dążyć. Dość leniwo posuwało się czółno, ponieważ spód jego często ocierał się o dno rzeki, wreszcie przybił Wasyl do brzegu, wysiedliśmy czółno upiąwszy do łozowego krzaka, i ruszyliśmy naprzód pieszo, ale zaiste ciernistą drogą, która mi się zdawała utorowaną i gładką, bo wiodła do zaspokojenia wytężonej ciekawości. Szedłem czyli raczej skakałem z kępy na kępę nie bardzo fortunnie, bo co chwila ominąwszy cel skoku grzązłem w błocie, ale Wasyl, lubo nie młody i kulawy, istny kanguru skakał balansując na swej krzywej nodze po mistrzowsku, a nadto musiał jeszcze co chwila podaniem ręki wyciągać mnie z grząskiego błociska. Wreszcie dostaliśmy się na powierzchnię dużej ostrowy w koło jakby wieńcem otoczonej łoziną i krzakami młodej olszyny, gdzie w środku była łączka z bujną, ostrą osoką czyli *ryżuchą*, która to nazwa najlepiej ją cechuje, bo brzegami swymi jakby nożem tnie, rżnie, kaleczy. Na jednym z krańców ostrowy była buda, ukryta w gęstej łozinie z dachem, pokrytym zeschłą trawą. Ostrowa ta miała nazwę „rekruckiej“, bo tu parobcy chronili się przed branką. Otoczona była w koło wodą czyli raczej rzadkiem błotem z mnóstwem kępek, porośniętych rogożą, sitnikiem lub tatarakiem, a skakać na te kępy trzeba było ostrożnie i rozważnie, aby nie zatonąć w tem błotnem topielisku. Uważałem, co mi się przy późniejszych bez przewodnika wycieczkach na te błota bardzo przydało, że Wasyl skakał tylko na kępy porośnięte sitnikiem lub tatarakiem, starannie unikając zarosłych rogożyną, rzeżuchą lub rośliną, podobną do mokrzu z drobnym, białym kwiatem, lub wreszcie trawą zielono-siwej barwy, te bowiem były zwodnicze mimo pozoru stałego i bezpiecznego. Całość tych rozległych moczarów wydaje się patrzącemu z dala pokrytą wdzięczną zielenią różnych ziół i traw, z krąglakami łoziny, niskimi krzakami

olchowymi i gdzieniegdzie sterczącemi, wyniosłemi, napół lub całkowicie zeschłemi, grubemi olchami; ale wstąpiwszy na nie i zapuściwszy się dalej, poznać je dopiero można w całej ich uroczej piękności, a zarazem straszliwej grozie. Przestrzeń cała zda się monotonna, bez urozmaicenia, tam w dali czarnieje las u krańca moczarów, owdzie sioła na wzgórkach się podnoszą, jakoby dąbrowy, bo każde okolone sadami, na otwartych miejscach widać wiatraki, dziwne, mimo obfitości wód, wodnych tam młynów nie ma od Uhnowa aż po sam Bełz na czteromilowej przestrzeni, bo wzbierające często wody zalewały je. A owe wsie błotne jakżeż odmienne od innych, często obejścia gospodarskie leżą na samym moczarze, chaty stoją na wbitych w bagno palach, a na każdej strzesze dwa bocianie gniazda. Nie z miłości dla ludzi gnieździ się tu ów ptak tak gęsto, czyni to jedynie dla swej korzyści, bo tu nieprzebrana mnogość żeru. Gdy braknie miejsca na strzesze, ścieli gniazdo na dębie lub sośnie rozłożystej w pobliskim lesie. Dniem i nocą przerywają ciszę swym donośnym klekotem. Rzeka Sołokija z brzegami płaskimi wzbiera często, wylewając swe wody na całej przestrzeni kilkumilowej, toż osobliwie na wiosnę jest cała okolica olbrzymiem jeziorem z wynurzającemi się z niego ostrowami tak, iż cała ta przestrzeń jakby miniaturowy archipelag wygląda. Po spadku wód przestrzeń ta wodnista, nawet śród największej posuchy moczary nie wysychają, podsycają je na wiosnę roztajałe śniegi, w jesieni słoty. Pomiędzy ostrowami i kępami istny labirynt jakby ścieżek zalanych wodą lub gęstem, nieporośniętem trawą, błotem — wyborne to żerowisko dla wszelkiego rodzaju wodnego ptactwa. Lud takie miejsca nazywa *czorniuhami*, pełne one przeróżnego rodzaju robactwa. Mimo woli wzdrygać się trzeba na widok tej obrzydliwej masy, często tak znaczną pokrywającej przestrzeń, iż jeziorko zda się nie wodne, lecz z samych owadów, porusza się, bałwani, to znowu w innem miejscu jakby kałuża świeżej krwi, świadectwa jakoby strasznej zbrodni. To nie krew — to owad mikroskopicznych rozmiarów w miliardowej zebrany masie wygrzewa się na słońcu, na powierzchnię z nurtów rzeki wypełznąwszy. Częstokroć taka wielka masa tego owadu płynie rzeką, iż ją w znacznej przestrzeni zabarwia czerwono. Lud dostrzegłszy to zjawisko wróży wojnę lub pomór, bo rzeka „*krwią płynie*". W istocie mógłby nastąpić pomór, gdyby przezorna przyroda nie zapobiegła zbytecznemu rozmnażaniu się owadów, przeznaczywszy je na żer dla niektórych gatunków błotnego i wodnego ptactwa. Bekasy, kurki wodne, łyski, gęsi, kaczki, w końcu ryby pożerają je krociami.

Wróćmy wszakże do rekruckiej ostrowy. Rzecze mi Wasyl: „Człowiek musi żyć, grunt mały, dzieci huk, gdy nie ma roboty, to w jesieni rybą i zwierzyną człowiek żyje". — „A jakże bić zwierzynę, kiedy strzelby zabrano?" — A ktoby tam strzelby do Cyrkułu dawał, pan przysiągł, że nie zdradzi, to coś panu pokażę". — To mówiąc wszedł do budy, odgarnął grubą warstwę suchego tataraku, służącego za barłog, wyciągnął długą, wąską skrzynkę, a z niej owiniętą w szmaty strzelbę, flaszkę z prochem, pistony i worek śrótu, a w celu zabezpieczenia strzelby i amunicyi od wilgoci, cała skrzynka wewnątrz wylana była smołą. Oprócz strzelby były tam wiktuały: sól, kawałek starej słoniny i dwa garnki. Wasyl był tu panem i gospodarzem na tej ostrowie, gdy nadeszła branka, parobcy uciekali się pod jego skrzydła opiekuńcze, a on chętnie ich krył w tej niedostępnej ostrowie. „Cóż będziemy robić? rzekł Wasyl nabijając strzelbę o długiej lufie ze śladami srebrnych inkrustacyi i z srebrną obrączką u wylotu, niezgrabnie w brzozowe łoże oprawionej, a długiej, jak dawna janczarka turecka, jaką też w istocie była. „Może weźmiemy kilka kaczorów". — Najchętniej, odpowiadam, ja do siedzących z pistoletu palnę". — „Et! czy to warto, lepiej strzelaj pan z mojej janczarki". — „A wy Wasylu z czego strzelać będziecie?" — „Ja dziś nie strzelę, bo to sobota, dawniej strzelałem, ale od czasu, jakem w sobotę postrzelił Dacychę, pan zna Dacychę?" — „A Czajczychę!" — A tę, tę, ale sama sobie winna, po co jej było leźć aż tu na błota, a ona nie samowita". — „Jak to waryatka?" pytam. — „Taże gdzie, odpowiada Wasyl, ot ona,... Bóg znami.... ma chowańca". — „Co za chowańca?" — „Ot tego, i przeżegnawszy się trwożliwie dodał: ditka! Temu lat sześć, jak teraz w Maju, przednowek był ciężki, myślę sobie pójdę na błota, sciągnę parę kaczorów i zaniosę do Bełza panu asesorowi magistratu, da ze dwa sorokowce, za które kupię zboża. Biorę więc strzelbę i idę ku cerkwi, bo tam stało czółno na młynówce, aż tu przechodzi mi drogę Dacycha z próżnemi konewkami, oho! myślę sobie, nic z polowania, wracać czy iść, et pójdę, nie ma co jeść, ale przódy zrobiłem odczary". — „A to jak?" pytam. — „Na co to panu wiedzieć, pan nie uwierzy". — Począłem zapewniać, że uwierzę, więc powiada: „Bo to pan może nie wie, że ona czarownica, i tylko duma, jak komu zrobić pakość, a osobliwie mnie nie lubi od czasu, kiedym ją był trochę poszturkał, że mi strzelbę oczarowała, a było to tak: Nie było mnie wtedy w domu, przyszła do mojej z jakimś babskim interesem, gadu, gadu, a ciągle zerka na moją strzelbę, stojącą w kącie. Jakoś się moja odwinęła, a Dacycha w duch do strzelby, coś pomruczała i kilka razy potarła po wylocie lufy. Moja powiada, a wy co ze strzelbą robicie? — „Ot tak sobi, z takoi rusznyci żabyły na wijni mojoho czołowika, bodaj ich tam! — Dacio Czajka jako żonaty wziętym był do wojska, i zginął na wojnie przeciw Napoleonowi I. „Coś jeszcze pogwarzywszy wyszła. Za kilka dni wybrałem się na błota.... pewny, że strzelba czysta, nabijam i idę, porwał się kaczor, ja stuk, ale tylko z kapsli, zakładam drugi, ba trzeci, nie wypala, pomimo żem kominek zabił kołeczkiem i podsypał prochem. Nie było innej rady, trzeba oba naboje wykręcić, i wie pan, co zatkało komorę, że strzelba nie mogła wypalić,.... lenisko z rudej gadziny. Oho! myślę sobie, już na dziś i na długi czas po polowaniu". — „A to dla czego?" pytam. — „To pan nie wie, co zrobi lenisko z rudej gadziny, zaczaruje strzelbę, że nigdy myśliwy z niej nic nie zabije, jeżeli nie umie odczarować. Schowawszy ten kawałek leniska wracam do domu zły jak sto diabłów, i pytam mojej: kto tu był, odpowiada: ten, ów, aż nareszcie mówi: Dacycha była i trzymała strzelbę w ręce. No! myślę sobie, to ona szelma! Poszedłem do niej, taj ot tak w pierwszej złości dałem jej parę razy, za co mandatar kazał sobie dać dwie żywe gęsi, a Dacysze 5 reńskich prostych". — „Cóż zrobiliście ze strzelbą?" — „Nim ją odczarowałem, nie chodziłem na polowanie, bobym był darmo proch psuł, a strzelbę odczarowałem w taki sposób: poszedłem do lasu, w stronie maziarni najwięcej bywa gadzin rudych, złapałem żywą, nabiłem strzelbę prochem, położyłem ją na ziemi, obok niej gadzinę, i biłem ją poświęconą palmą z kwietnej niedzieli, pokąd do lufy nie wpełzła, wtedy wystrzeliłem gadzinę w powietrze". — „Jakżeż! pomogło to?" — „A pewnie, zaraz na drugi dzień poszedłem na błota, i sciągnąłem ośm kaczorów". — „Było pójść bez odczarowania, a dobrze strzelać". — „Ta! ta! ta! co mi pan mówi, już mi raz strzelec Choronowskiego pana strzelbę był zaczarował, nie wierzyłem i ja, i cóż? cały dzień chodziłem, co strzelę, to pudło, myślę sobie, za gorąco, więc wytrzymywałem, jeszcze gorzej, odrzuciłem ze złością strzelbę,

ze trzy dni leżała na błotach, ledwiem ją odszukał, aż mi ją potem odczarował stary Michałko, co chodzi po proszonym chlebie, a dawniej był dojeżdżaczem u pana Łowczego z Rzeczycy (Romanowski, o którym jako o słynnym myśliwym niżej mówić będę). Od niego to się owych sposobów zaczarowania i odczarowania nauczyłem. Ale wracam do Dacychy. Kiedy mi wtedy przeszła drogę z próżnemi konewkami, to użyłem sposobu na te czary. Właśnie było po deszczu, więc błoto, Dacycha pozostawiła w nim ślady, gdy już zeszła aż nad rzekę dla nabrania wody, ja wtedy nizom, nizom (chyłkiem), żeby nie zobaczyła, nuż stąpać w piętę, w jej ślady, tak doszedłem aż do jej chałupy, i ruszyłem inną drogą na błota myśląc: nic z twoich uroków czarownico. Dobrze mi się też wiodło, co stuknę, kaczor bęc na ziemię z dymem, wziąłem ich sześć. Myślę sobie, pójdę pod samą wieś, na zielonej kołbani pewnie żerują kaczki. Rychtyk tak było, porywa się stary kaczor, lecz dziwnie jakoś nie wzlatuje w górę, tylko leci ponad samą wodę, nie strzelam, bo jakby padł na środek wody, trudno go dostać, a wody tam nie wiele, ale błota wyżej chłopa. Kiedy już był przy drugim brzegu, ja stuk, padł kaczor, ale też ozwał się głos: oj! oj! oj! zabyw! obiegam co tchu kołbanię, aż tu leży baba jakaś i zawodzi, podnoszę, Dacycha! skrwawiona, a przy niej leży pełne rzeszoto, zadała się, udawała, że szła po rzęskę dla młodych kaczek, ale ona pewnie szukała swego chowańca, usłużnego diablika przez siebie wychowanego, aby mnie czarować. Uciekłem i dwie niedziele przesiedziałem na tej rekruckiej ostrowie, a choć mandatar kazał szukać, nikt mnie tu nie znalazł, bo kto to tu zna drogę. Moja wiedziała, gdzie jestem, ale trafić tu nie mogła. Mąki i chleba nie miałem, ale była sól, ryby łapałem w sak, bekasy i kaczki na sidła, i jakoś nie było głodno. Po dwóch tygodniach nocą podszedłem do chaty, moja zobaczywszy mnie stała zawodzić, co zagrabili krowę na basarunek dla Dacychy, i nie wydadzą, aż dam 20 prostych. Mandatar już złagodniał, bom zaniósł mandatarce kopę czesanego lnu, ino basarunek kazali zapłacić. Zapłaciłem też co do grosza, pożyczywszy od żyda w Uhnowie. Oj sobotaż to była, sobota! od tej pory nigdy w sobotę nie idę na polowanie, a właściwie nie strzelam w lot zwierzyny".

Tego dnia miałem szczęście, zastrzeliłem w lot kaczkę, chudą jak trzaska, zapewne z gniazda, trzy łyski i kurek wodnych kilka sztuk, strzelając do siedzących. Nie ciekawe to, więc powracam na ostrowę. Jak już wyżej powiedziałem, otoczoną była ta ostrowa jakby wieńcem gąszczem łozowym i olchowym, środek zaś porośnięty był bujną osoką. Kształt ostrowy był owalny około 80 kroków w długości, a 20 szerokości. Miejsce to musiało być niegdyś lasem olchowym, o czem świadczyły liczne kopiaki, pokryte mchem, dawniej niezawodnie pnie. Może na tej niedostępnej ostrowie kryli się ludzie przed najazdem? Takie miejsca moczarowate, pełne gąszczów, wiklin, trzcin i tataraków dawały dawniej istotnie bezpieczne schronienie podczas napadu Szwedów, Turków lub Tatarów. Sama nazwa trawy szuwarowatej: tatarak świadczy o swem pochodzeniu.

Pierwsza ta moja wycieczka na owe moczary zapaliła we mnie gorącą chęć dokładnego zbadania tych miejsc, a zarazem poznania trybu życia ich mieszkańców. Niejednokrotnie więc zwidzałem je, a spostrzeżenia moje podaję najwierniej. Obznajomiwszy się nieco z tymi moczarami, nauczywszy się chodzić czyli raczej skakać z kępy na kępę lub na sterczące stare, spróchniałe pnie olchowa, puszczałem się na taką wyprawę już bez mego mentora Wasyla. Wiedząc, gdzie się znajduje rekrucka ostrowa, doszedłszy do niej i wydobywszy Wasylową janczarkę, puściłem się w głąb moczarów znanemi ścieżkami, to zbliżając się do krętego łożyska Sołokii, to oddalając od niego. Rozkoszowałem w samotności, bo ta mi zawsze najmilszą. Gdy tak kroczę naprzód powoli, słyszę po za sobą plusk, a raczej chlapanie i sapanie jakieś, trawa na kępach się porusza, widocznie coś dąży ku mnie. Sądziłem, że to wydra, bo lis w tej porze nie zapuszcza się tak daleko na błota, odwodzę więc kurek i czekam, aż po chwili wynurza się z tataraku Migdał, pies, wielki mój przyjaciel. Ciekawe to było psisko, rasy mięszanej z wyżlicy i psa owczarskiego, więc odziedziczył barwę szerści po mieczu, a niektóre właściwości po kądzieli. Był on tak jak Wasyl uniwersalnym, ale we wszystkiem miernym, więc gonił w kniei zwierzynę, lisa znakomicie, stawał do kuropatw i przepiórek, do bekasów i dubeltów brakło mu cierpliwości, obcesem do nich przyskakiwał i płoszył, znosił kaczki z wody wybornie. Do mnie tak był przywiązany, że gdy pragnąłem uwolnić się od jego towarzystwa, musiałem się wykradać, i czem bałamucić Migdała, tak się zwał od barwy masłowatej. Najczęściej miauczałem jak kot poszczuwając, wtedy Migdał, wściekły wróg rodu kociego, pędził jak opętany, przeszukiwał naprzód pobliższe miejsca, następnie zapędzał się dalej, z czego korzystając ruszyłem na zamierzoną wyprawę. Tak też i teraz się stało, ale on tropem moim doszedł do mnie. Zaciekły myśliwy byłby niezawodnie palnął do posuwającego się tatarakiem, na jego szczęście lubo gorący z temperamentu, miałem dosyć zimnej krwi wyczekiwać spotkania. Przywołałem go do siebie, nakiwałem mu, aby nie przeszkadzał i ruszyłem dalej. Wstąpiłem na obszerną ostrowę podniesioną, więc dosyć suchą, gdzieniegdzie tylko rosły trzciny i rogoże jako oznaka, że tam znajdują się tak zwane kołbanie, okna lub opary, śród najtęższych nawet mrozów niezamarzające. Przystąpiłem do jednej z takich kołbani, znęcony złotawo-żółtego koloru irysami, liliami wodnemi z blado-żółtym i zupełnie białym a cudnie woniejącym kwiatem, który wpuszczony do czystej, prowanckiej oliwy i wystawiony na działanie ciepła, najodpowiedniej promieni słonecznych, po dłuższym czasie staje się płynnym balsamem, a jak lud twierdzi, ma być wielce skutecznym na głuchotę i wszelkie rany. Przecudny był refleks tego koloru białego i żółtego w odmianach od jasno-błękitnego tła niezapominajek, niby kobierzec na ziemi rozścielonych, resztę ostrowy pokrywał tatarak. Mnóstwo czajek z głośnym kihitem kręciło się ponad głową moją, bijąc na psa, co czynią w celu odwrócenia uwagi od gniazd swoich. Piękny to ptak, lud zwie go „czyjty", upatrując podobieństwo w ich głosie do słów tegoż znaczenia. Jak skowronek na polu, tak czajka na błotach jest pierwszym zwiastunem wiosny. Czajka należy do ptaków pożytecznych, pożerając mnóstwo owadów, a szczególnie pijawki tak zwane końskie, pasemkowate, dawniej używane przez lekarzy. Owady te najpierwsze budzą się ze snu zimowego, więc też najwcześniejszym są żerem dla wszelkiego ptactwa błotnego i wodnego, szukają też ich skrzętnie czajki, nie pogardzając i drobną rybką, którą łowią siadając na odmiałach lub ławach piaszczystych. Gdybym był wówczas wiedział, jak łakomym kąskiem dla smakoszów są jaja czajcze, byłbym był mógł ich nazbierać mnóstwo. Znachodziłem w gniazdach 4 lub 5 jaj, a w niektórych były już młode. Stałem właśnie nad gniazdem z trojgiem młodych, rodzice w rozpaczy biją na mnie z żałosnym głosem czyj ty! czyj ty! Dotknąwszy z lekka nagich jeszcze, z wielką głową piskląt miałem odchodzić, gdy Migdał opodal odemnie zaskomlił donośnie, po chwili po raz drugi, poczem

począł ujadać. Byłem pewnym, że się spotkał z wydrą, która po kociemu parskając pali mu potężne policzki przedniemi, pazurami uzbrojonemi łapami, biegnę więc co tchu, potknąwszy się kilka razy i skąpawszy się nieco, dobiegam, co widząc Migdał tem odważniej naciera, lecz za każdem natarciem coprędzej umyka z zakrwawioną głową. Zatrzymuję psa i zbliżam się do kępy, wtem z wnętrza przeszłorocznej więc zeschłej rogoży wynurza się niby szpada lub rożen kucharski i kaleczy mnie dotkliwie w rękę — była to żurawica siedząca na gnieździe Musiałem przyznać, iż mimo swej płci była nader wojowniczego ducha w obronie swego gniazda, nie strzelałem, ale chciałem spędzić, co mi się wszakże nie udało. Rozjadły Migdał chciał znowu atakować, i byłby ją może zdławił, czego się obawiając wziąłem go na rzemień i odciągnąłem od tej wzorowej matki. Uszedłszy niedaleko, skryłem się w sitniku. Kępa, na której się umieściłem, była niewielką, położywszy strzelbę rozdzieliłem obu rękami sitnik, przezco utworzyła się wąska luka, która mi pozwoliła widzieć jeżeli nie samo gniazdo, to przynajmniej żórawicę, która rozzłoszczona długo nie mogła się uspokoić, ciągle się poruszała, co chwila wstawała rozglądając się w koło, szukając zapewne mnie i psa, wydawała przytem jakiś cienki głoc, to znowu jakby rozmawiała z dziećmi bo wyraźnie słyszałem ich pisk. Z godzinę przypatrywałem się jej, już nawet Migdał był usnął, gdy nad głową moją posłyszałem szum, i ujrzałem spuszczającego się samca żórawia, który następnie pieszo doszedł do gniazda. Słyszałem gwar ich rozmowy, samiec obdzielał dzieci przyniesionym żerem, a ona tymczasem rozpuściwszy skrzydła, dwoma lub trzema skokami nadawszy sobie pęd, uleciała w stronę Staj, zapewne po żer dla siebie i dla dzieci. Po jej oddaleniu postanowiłem ponowić atak na gniazdo w celu rozpatrzenia się w jego wnętrzu, spuściłem więc Migdała z rzemienia, który obces skoczył naprzód, ale wnet pomny ran odebranych zbliżał się do gniazda ostrożnie. Spłoszony samiec wzleciał natychmiast bez stawienia oporu, a ja natychmiast pochwyciłem psa, aby nie podusił młodych żórawiąt, których znalazłem dwoje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Krasiczyn, 6 Marca.

By uniknąć śmiesznej roli zbyt oględnego podpalacza panewki i przydomka kunktatora na arenie Teschnerówek, na której koleżeńska gotowość p. Weebera z p. Żurowskim za mnie kopię kruszy, pospieszam z kilkoma od siebie uwagami, które mi wraz z wieszczem Czarnoleskim jedynie wzgląd na dobro powszechne dyktuje. Wstępując w szanowne grono współpracowników „Łowca“ z kilkoma uwagami o systemach broni, czułem trudne stanowisko dyletanta na obszernem polu dzisiejszego rękodzielnictwa broni myśliwskiej i całą niedostateczność tej rozprawki wobec dzisiejszych wymagań i materyału piśmiennego, którym nawet mistrz fachowy nie łatwo dziś podoła. Podzieliłem się „czem chata bogata“, i dość mam zadowolenia, że poruszona przezemnie kwestya zainteresowała może ogół naszej łowieckiej inteligencyi i wywołała w „Łowcu“ tyle pożądaną wymianę zdań, zapatrywań i doświadczeń osobistych. Nie mniej ważnym szkopułem, dla dobrych chęci i zmysłu spostrzegawczego jest brak obszerniejszych wiadomości z dziedziny fizyki i mechaniki, a brak ten daje się szczególnie uczuć wobec dzisiejszych postępów balistyki. Nie strojąc się wcale w togę akademicką, radbym tylko w sposób zgodliwy porozumieć się z szanownymi oponentami mymi pp. T. Z. i J. B. Pisząc o Teschnerówkach miałem głównie na oku wzgląd ekonomiczno-społeczny, zwracając uwagę na niedostatki systemu, który tysiące polskiego grosza bezużytecznie pochłania. Tem nie przystąpiłem jeszcze do grona wyznawców niesprawiedliwego twierdzenia znakomitego naszego Posła w Radzie Państwa, p. Hausnera, który w jednej z swoich świetnych mów nazwał niesłusznie łowiectwo „w sport przybraną chęcią mordowania“; ubolewam tylko nad niezasłużoną według mego przekonania wziętością systemu broni wobec innych nierównie lepszych, choćby nieuprzywilejowanych i niezagranicznych w ściślejszem tego słowa znaczeniu. Pan Z. Pisze o lankastrach i lofoszówkach, że wychlastane biją miękko. — Pomięszał sz. obrońca w swej gorliwości pojęcia o tem wychlastaniu luf, które przy odtylcówkach, uwolnionych szczęśliwie od spustoszeń przez stemple, nie ma żadnego zastosowania. Zresztą raczy p. Z. uwzględnić niezbity już pewnik niezależności strzału od jakiegokolwiek systemu, którą p. Weeber dość drastyczną, ostateczną wzmianką o loncie, jako czynniku systemowym dział, dobitnie objaśnił. Wszakże ostatecznie dobrze albo źle strzela t y l k o lufa, i ona jedynie bez względu na system (zamknięcie i zapał) za skutek strzału odpowiada. Dalsza dysputa w tej materyi byłaby już chyba walką z wiatrakami.

Panu J. B. usprawiedliwiam się z pozornej sprzeczności, wysnutej przez niego z ustępu mej rozprawki, w którym polecając impregnowane sztople filcowe wyraziłem się „że odrobina tłuszczu użyta w lufie nie szkodzi“. Jestto istotnie wyrażenie w rozprawie fachowej zanadto wolne, prostuję je przeto o tyle, że w szorstkości i zanieczyszczeniu luf nie szukam wcale poparcia mego założenia, dotyczącego ostrego strzału, miałem raczej na względzie s z c z e l n o ś ć przybitki, podniesioną otłuszczeniem jej przy pewnym stopniu koniecznego tarcia w gładkiej ile możności lufie. — Co do explozyi prochu i sposobu zapalania się tegoż w ładunkach rozmaitych systemów, nie sądzę, aby to, co o tem pisałem, było błędnem. Proch jest tylko w ładunkach źle zrobionych mocno ubitym. Wszakże właśnie z tego powodu fabrykuje się proch w ziarnach, aby między pojedyńczemi ziarnkami mieściło się powietrze, którego tlen niezbędnie potrzebnym jest do szybkiego i doszczętnego spalenia się prochu. Jeżeli więc robiąc nabój ubijamy mocno proch, lub co gorsza ziarnka jego zmiażdżymy, to zmniejszymy temsamem ostrość strzału. Wagner w dziele swojem traktującem o technologii chemicznej oblicza szybkość palenia się prochu prasowanego na $10\frac{1}{2}$ milimetrów w sekundzie, ziarnistego zaś w tymże samym czasie na $1\frac{1}{2}$ metra! Jasny to dowód, że im więcej jest powietrza między cząstkami prochu, tem rychlej się on spala, i że w nabojach nie należy prochu mocno ubijać. Jeżeli proch nie jest ubitym, to siła explozyi kapsla, umieszczonego w patronie systemu Lankastra jest

dość znaczną, aby przebić warstwy prochu nad nim będącego, a tem samem cały nabój szybciej zapalić. Zresztą, oparłem moje zapatrywanie na widzianym w któremś dziele (podobno Brandeis Atlas) rysunku porównawczym zapałów rozmaitych nabojów, który bardzo przemówił do mego przekonania. Rozprawy pana Weebera znamionują gruntowne badanie rzeczy, podjęte z zamiłowaniem, wrodzony zmysł mechaniczny i szerszy pogląd fachowy, zarzuciłbym jedynie nadzwyczajną zwięzłość, która znawców nie będzie razić, ale niefachowym czytelnikom utrudni zrozumienie. Do rozpraw pana W. możnaby dodać drugie tyle komentarzy, a ja prosiłbym o wyjaśnienie wybitnej, ile mi się zdaje, sprzeczności. Na początku dokończenia rozprawy o lufach w Numerze 3 „Łowca“ mówi p. W., że lutowanie luf na mosiądz jest niepotrzebnem marnowaniem paliwa, a cóż mogło spowodować podwyższenie ceny luf na cynie lutowanych o 15—20 franków na sztuce? Wkradł się też błąd drukarski: lufy Piepera są wyszwejfowane, a nie wyszwejsowane. *Kazimierz Remiszewski.*

W numerze 2gim „Łowca“ z dnia 1 Lutego 1882 ubolewa korespondent z Pacykowa nad sąsiedztwem rządowych lasów, w których jak twierdzi, „nieustannie z psami polują“. Twierdzenie to jest zupełnie mylne, gdyż w lasach rządowych z psami polować nie wolno, wyjąwszy na dziki, dla których właściwe psy utrzymywane bywają. Oczywiście nie muszą być p. korespondentowi znajome stosunki miejscowe, gdyż o nieprawdziwości powyższego twierdzenia poświadczyć może cała okolica, biorąca udział w tutejszych łowach, a fakt niżej podany, o którym tenże zdaje się tylko słyszał, nie upoważnia go do tak śmiałego a w gruncie niecnego twierdzenia. Otóż rzecz się miała tak: Podczas obchodu służbowego w dniu 3im Stycznia r. b. spostrzegł tutejszy pomocnik lasowy B. na sianożęciach „Na Łukwicy“ zwanych, przy granicy między lasami rządowymi i Pacykowskimi położonych, ślady kłusownika niosącego ubitą zwierzynę z lasów rządowych ku Pacykowskim, jak to farba tuż przy śladach stóp kłusownika na śniegu pozostała, nie mniej miejsca odpoczynku tegoż kłusownika udowadniały. Działo się to już późnym wieczorem, nie można więc było z powodu ciemności w dużym lesie bliżej zbadać, w którem miejscu zwierzynę właściwie ubito. W tym to celu, jak niemniej w celu dokładnego wyśledzenia sprawcy czynu, udał się zmiankowany pomocnik następnego dnia rano t. j. 4 Stycznia r. b. w towarzystwie drugiego pomocnika E. na miejsce spostrzeżonego przestępstwa, a idąc obadwaj za śladem zmiankowanego kłusownika w kierunku miejsca ubicia skonstatowali, że miejsce to znajdowało się tuż przy granicy lasów rządowych, lecz już w obrębie Pacykowa. Ubitą zwierzyną, jak się z pozostałych na miejscu resztek po wypatroszeniu takowej przekonano, była sarna. W obec takiego stanu rzeczy nie widziano potrzeby dalszego śledzenia kłusownika ze strony rządowej, więc powzięli następnie pomienieni pomocnicy lasowi zamiar zapolowania na dziki z psem umyślnie do tego utrzymywanym, którego wówczas na każdy wypadek ze sobą na sworze mieli. Nie znalazłszy jednak w swym dniu świeżego tropu dzików, zabierali się zmiankowani pomocnicy około południa do odwrotu, gdy wtem od strony sąsiednich lasów Pacykowskich kilka strzałów padło (odbyło się tam polowanie z pogonką), na odgłos których prowadzony pies wyrwawszy się przypadkowo ze swory, pogonił prosto w kierunku strzałów. Któż śmiałby zaprzeczyć, że wolny pies gończy, mimo najstaranniejszych zabiegów złowienia go, czego natychmiast nawoływaniem, trąbieniem a nawet strzelaniem na wiatr nie zaniedbano, a do tego pies taki, który nie często bywa spuszczany, podda się raczej wpływom naturalnego swego popędu, aniżeli wszelkim nawoływaniom myśliwych? I tak się też rzeczywiście stało, bo pies uganiał następnie przez kilka minut za sarną już w granicach lasów Pacykowskich. Ażeby corychlej naprawić to nie umyślnie wyrządzone złe, udał się natychmiast pierwszy ze zmiankowanych pomocników lasowych za goniącym psem w celu złowienia go. Po drodze spotyka się z towarzystwem kilku myśliwych ze strony Pacykowskiej, zachodzących świeży miot, otrzymuje od jednego z tychże panów, zdaje się przewodniczącego łowów, przychylną na pozór uwagę, „że psa właśnie goniącego wypada złapać“, wyjaśnia temu przewodniczącemu wyrządzoną przykrość przypadkowem wyrwaniem się psa i następnie zdąża dalej w kierunku rozstawionej już w części linii strzelców za psem. Przy ostatnim z myśliwych pokazuje mu się istotnie w oddaleniu około 150 kroków zakwestyonowany gończy, którego nawoływaniem stara się złapać. Pies podchodzi ku niemu, i w przeciągu jednej minuty mogła być tak nieprzyjemna sprawa zupełnie załatwioną. Lecz cóż się dzieje? W tejże chwili, zanim można było przypuszczać coś podobnego, pada pies ugodzony jednym, a zaraz po tem dobity drugim a w końcu trzecim strzałem ostatniego strzelca, który słyszał nawoływania tuż obok niego znajdującego się pomocnika lasowego B. Na przedstawienia uczynione, zimno tenże odpowiedział, że taki miał nakaz od przewodniczącego pana B. Ażali czyn taki jak ubicie gończego psa prawie u nóg myśliwego zaszczytnym jest, raczy osądzić ogół myśliwych. Równie dziwnem jest dalsze wyrażenie się wspomnianego p. korespondenta, mianowicie że „jak wiadomo pies nie zna granicy, a kłusownik jej znać nie chce“, wyrażeniem się bowiem takiem w obec wyżej określonego faktu chciał korespondent widocznie nacechować tutejszy personal leśny piętnem kłusownictwa. — Sprawa taka jest zbyt drażliwą, ażeby ją pominąć można, a przypuszczając, że powodem takiej wynikłości jest raczej niezręczne wyrażenie się, a nie istotna chęć podejrzywania tutejszego personalu o kłusownictwo, upraszamy, by p. korespondent w następnym numerze „Łowca“ ustęp powyższy odpowiednio sprostować zechciał i przyjął do wiadomości, że tutejszy personal nie mało ma kłopotów z kłusownikami, którzy widocznie w skutek braku gorliwego dozoru ze strony Pacykowskiej, tam niejako się wychowują. Pan korespondent nie zechce zapewne być tak naiwnym, ażeby ubicie jednego przypadkowo i nie umyślnie wypuszczonego psa kłaść na karb gorliwego dozoru zwierzostanu, skoro kłusownicy bez psów, najprostszym sposobem, bo na zasadzkach, wyrządzają szkodę, jak to udowadnia fakt wyżej wymieniony. Dalej nie od rzeczy będzie zanotować tu, że wspomniany pomocnik lasowy B. o fakcie wyżej opisanym co do spostrzeżonej kradzieży sarny, w tym samym dniu t. j. podczas polowania (już po ubiciu psa) p. przewodniczącemu łowów Pacykowskich osobiście doniósł, że zatem p. korespondent, gdyby mu było chodziło o podanie prawdziwych faktów, takowych z łatwością mógłby zaczerpnąć u wspomnianego p. przewodniczącego. Nareszcie nie zaszkodzi tu nadmienić, że panowie myśliwi Pacykowscy zajmując miot wyżej nadmieniony, podczas którego pies zginął, rozstawili się już na terenie rządowym, a zapatrując się na stosunki sąsiedzkie z takiego stanowiska, z jakiego je traktuje p. właściciel Pacykowa, przychodzi się mimowolnie do przekonania, iż wymienionym panom myśliwym nie musiało być wiadomem, że skoro psy granicy nie znają, myśliwi — niekłusownicy takową znać powinni.

W. L.

KRONIKA.

†

Nową zapisujemy stratę. Dnia 17 Marca zmarł w Zahajpolu **Marceli Jasiński**, członek Towarz. łow., syn powszechnie i wielce cenionego w kraju obywatela. Szeroko znaną była jego prawość i gotowość do usług w każdej potrzebie czyto publicznej, czy prywatnej.

Cześć jego pamięci!

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Herberstein z Krasickich, hrabina.
Łączyńska Henryka, hrabianka.
Łobaczewski Erazm, Dr. praw.

Luty 1882.

W numerze 9 „Łowca“ r. z. przy wiadomości o powstaniu i serdecznem powitaniu Towarzystwa naszego, wezwaliście nas uprzejmie do nadsyłania sprawozdań o rezultatach działań naszych. Uczynić zadość takiemu wezwaniu powinien każdy, choćby czuł w sobie nieprzełamany wstręt do papieru i atramentu, do czego niejeden, chcąc być szczerym, przyznać się powinien. Jeżeli „Łowiec“ znakomicie się już przyczynił i ciągle przyczynia do rozwoju łowiectwa w Galicyi, jeżeli już niezaprzeczone na tem polu oddał krajowi usługi, to czynił to i czynić może, przy najlepszych chęciach i wiedzy Redakcyi, przeważnie na podstawie poparcia słowem i czynem ze strony publiczności, ze strony myśliwych. Miłemu temu obowiązkowi czyniąc zadość, przesyłamy wzmiankę o pierwszych polowaniach Kółka naszego. Ostatnia jesień i obecna zima sprzyjały dosyć polowym łowom, zwłaszcza u nas, w położeniu pagórkowatem, poprzecinanem gęsto wąwozami, potokami i jarami, które w porze śnieżnej są nie do przebycia. Z 25.000 morgów obszaru, którym dysponujemy, wybrał Wydział Towarzystwa te tylko miejscowości, gdzie dotąd sami Właściciele dbali o dobry stan zwierzyny, i gdzie, o ile mogli, bez pomocy Władz, o którą tu arcytrudno, kłusowników strzegli i prześladowali. Więc zaledwie czwarta lub piąta część pól wszystkich została w tym pierwszym roku przez nas zdeptaną, a wyrażenia tego słusznie używamy, bo prawie ciągle polowaliśmy kociołkami. Przez dni siedm, pierwszy bowiem zbyt wiele dostarczył przeszkód atmosferycznych, więc raczej przez dni sześć, w okresie czasu od początku Listopada do końca Grudnia, ubiliśmy razem 163 zajęcy, 7 kuropatw, lisa i kszyka. Dodać należy, że dwaj dozorcy nasi ubili od Kwietnia r. z. do 1 b. m. 14 psów 21 kotów i 31 ptaków drapieżnych.

W Marcu r. b. zaprosić ma Prezes wszystkich członków Towarzystwa (obecnie 27), by nam przedłożyć roczne rachunki i porozumieć się co do dalszych czynności Wydziału, poczem prześlemy sz. Redakcyi o tem zebraniu słów kilka, tak jak znów da Bóg doczekać za rok z sprawozdaniem odezwać się nie omieszkamy, z czem i z jaką treścią, to już nie od nas zależy. Bliski już Marzec i pytanie, jakim on będzie, trwogą przejmuje gospodarzy co do przyszłych plonów, a jako myśliwi uczucie to także dzielić musimy. My jako Wydział, mający czuwać nad dobrem Towarzystwa, trzymamy się i trzymać będziemy zasady: *„fais ce, que dois, advienne ce, que pourra“*.

Pruchnicko-Kańczudzkie Towarzystwo myśliwskie.

Prezes: *W. Bzowski.* Sekretarz: *Karol hr. Scipio.*

Olejów, 27 Lutego.

Jako *curiosum* myśliwskie donoszę, że stary rogacz rzucił dopiero w Lutym rogi, czego nigdy nie widziałem. W Olejowie przed laty 15 nie znane były sarny, a w tym roku myśliwskim ubiłem 19 rogaczów.

Po tak gorącem wezwaniu Karola Brzozowskiego zająłem się gorliwie ułożeniem zapisków ornitologicznych o skowronku. Praca ta jest już na ukończeniu, i wkrótce skowronek mój wyleci w świat.

W numerze 2im „Łowca“ pisze p. Ubysz, że drozda spiewaka nazywają Niemcy Spottvogel, co jest błędnem, gdyż Spottvogel jest *Sylvia hipolais*, Gajospiew szczebiotliwy.

Szczęść Boże w pracy i w uznaniu zasług około łowiectwa krajowego i czystości języka, na takiej podstawie znajdzie zawsze „Łowiec“ poparcie i wziętość. *Kazimierz hr. Wodzicki.*

Polecamy czytelnikom naszym dzieło pod tytułem: *Jagd-Lexikon von O. von Riesenthal. Handbuch für Jäger und Jagdfreunde mit besonderer Berücksichtigung der Naturgeschichte und Hege des Wildes. Mit 123 Abbildungen. Leipzig 1882. Verlag des bibliographischen Instituts.* 8vo str. 520. Kosztuje wraz z oprawą 3 złr. 55 ct. — Dzieło to daje w abecadłowym porządku krótką wiadomość o wszystkiem, cokolwiek w dziedzinę łowiectwa wkracza, i może się stać bardzo dogodnym przewodnikiem i doradcą względnie w każdej myśliwego potrzebie.

Myszkowce, 4 Marca.

Pan Weeber w numerze 3im „Łowca“ przypomina mi artykuł, który do „Łowca“ w r. 1878 o Teschnerówkach napisałem. pamiętam ja o nim, a doświadczenia od tego czasu utwierdziły mnie w mniemaniu, że miałem racyę. W Teschnerówkach jest trwała, dobra konstrukcya, doskonały przyrząd asekuracyjny, od lat bowiem wielu używam ich, i ani się psują, ani też miałem jaki wypadek wypalenia bez mojej woli. Cóż można więcej wymagać? Wylatywanie rurki papierowej wraz z strzałem jest również zaletą. Rzadko się zdarza, aby rurka cała została w gnieździe nabojowym, a i wtenczas jak p. Weeber przyznaje, wystarcza do wydobycia jej palec, kawałek zaś papieru może pozostać w lufie, wyleci on przy następnym strzale, co strzałowi wcale nie zawadza. Cynkowych skówek używał pierwotnie Teschner anno domini 1860, Colath zaś przysyłał mi zawsze naboje z skówkami mosiężnemi, które są zupełnie dobre. Papier przy wystrzale wylatuje lufą, a skówka przy otworzeniu strzelby wypada sama, nigdy nie wyciągałem jej siłą w Teschnerówce, a kilka razy musiałem to czynić w strzelbach systemu Lefaucheux i Lankastra. Zresztą klucze do wyciągania nabojów, dodawane do tego systemu strzelb, dowodzą, że to się przy nich często zdarza, podczas gdy przy Teschnerówce klucz taki zupełnie jest zbyteczny.— Pan Weeber powołuje się na ś. p. Aloizego Strzeleckiego. Naprzód świadectwo nieboszczyka nawet w obec sądu nieważne, na jego szkołę się powoływać — to jeszcze mniej warte. Aloizy mieszkał i zakończył życie w mojej okolicy, żyłem i polowałem z nim lat 30, miewał dobre psy gończe, był człowiek zacny, dobry myśliwy, nieoceniony towarzysz; ale mierny strzelec. Iluż to chybionych strzałów jego byłem świadkiem, broń miał mierną, i nigdy innej jak kapslowej do śmierci nie używał. Gdy go raz do kupienia odtylcowej namawiałem, rzekł: „dla mnie to rzecz niepotrzebna, w mojej okolicy zwierza mało, czasem tydzień upłynie między, jednem a drugiem spotkaniem, więc mam czas nabić, choćby ladstokiem“. Tu mimo woli nasuwa się mej pamięci zdarzenie, które na poparcie mego twierdzenia przytoczę. Było to około r. 1860, ś. p. Aloizy był na polowaniu u hr. Ksawerego Konarskiego w Hrefcie, mówiono o broni, on chwalił swoją starą dubeltówkę kapslową, która choć niepozorna doskonale strzelać miała, na to hr. Konarski rzecze: „wiesz co Aloizy, postawię tobie jako cel talerz porcelanowy na 60 kroków, strzelaj z twej strzelby grubym śrótem, a ja stawiam 5 złr. w zakład, że go niestłuczesz“, — „Chyba żartujesz“, odrzekł Aloizy. — „Nie, mówię na seryo“. — „Trzymam za słowo“. Wyniesiono talerz, postawiono. Strzela raz drugi, talerz cały, zapłacił 10 złr. i rzekł: „Tfu! czary czy babskie uroki!“ Towarzysze dokuczali mu długo tym talerzem. Ponieważ p. Weeber z tej szkoły, jak sam twierdzi, pochodzi, to turniej na strzały, do którego mnie wzywa, nie powinien być niebezpiecznym. Ja się na turniej godzę, gdyż straciłem nadzieję przekonania p. Weebera słowami, ale powiadam: *glauben oder wetten*, jestem gotów trzymać zakład o 5 złr. za strzał z Colathówki przeciw strzelbie Lafaucheux lub Lancastra tego samego kalibru na 60 wied. łokci śrótem 00. p. p. Strzał ostrzejszy i większa ilość śrótu w tarczy zwycięża. Do tego turnieju prosiłbym jednak pana W. do siebie na wieś. Pan W. powołuje się jako na powagę na ś. p A. S., a ja powołuję się oprócz tych panów, których w przeszłej korespondencyi wymieniłem, na powagi myśliwskie żyjące, a to na Stanisława hr. Gołuchowskiego, Władysława Bzowskiego, Postruskiego, którzy wyłącznie z Teschnerówek, wszyscy trzej znakomicie strzelają, a z których każdy choć nie jest twórcą nowej szkoły, co najmniej dwadzieścia pięć razy tyle zwierza, co ś. p. Aloizy Strzelecki zastrzelił. — A więc do widzenia mój turniejowy przeciwniku, po parodniowem strzelaniu zobaczymy, kto miał słuszność. *Teofil Żurowski.*

Dnia 16 Marca.

Hr. Kaz. Dzieduszycki ubił 13 Marca jedną słonkę w Żelechowie W okolicy Lwowa dotąd jej nie spostrzeżono, nie pojawia się też na targu. *W.*

Majdan, 27 Lutego.

Wysyłam dla Muzeum im. Dzieduszyckich czarną żmiję w spirytusie. Okaz sam przez się rzadki. ciekawym jest nadto z tego względu, że go zchwytałem pełzającego między wrzosami 24 Lutego podczas polowania w lasach Baranowskich. Fakt ten świadczy o anormalnym stanie temperatury bieżącej zimy. Ziemia była zmarznięta i tylko nieco na wierzchu odtajała, dzień dżdżysty i chłodny, a na nizinach lody, po których jeszcze prawie wszędzie przechodziliśmy. Przyrodnicy nie są łatwowierni, gotowi podejrzywać prawdziwość mego twierdzenia co do pełzania gadu, na dowód więc przytaczam imiona tych, którzy byli na tem polowaniu i żmiję żywą w lesie widzieli: PP. Stanisław Dolański, właściciel Baranowa; Edmund Wojnarowski z Zaszykowic i Jan Przanowski z Zaleszan, wszyscy członkowie naszego Towarzystwa łowieckiego

Przy tej sposobności przesyłam wiadomość, że w ubiegłej jesieni założyliśmy w Kolbuszowy Towarzystwo myśliwskie, złożone w większej części z urzędników i wojskowych, w celu podniesienia zwierzostanu i wytępienia kłusownictwa, które u nas więcej, jak w którymkolwiek powiecie, grasuje. Towarzystwo dotąd nie wiele jeszcze rewirów dzierżawi, gdyż większej części polowań gminnych są niestety dzierżawcami włościanie kłusownicy, powoli jednak rozwinie się działalność nasza przy pomocy znanego z prawości i zamiłowania do myśliwstwa starosty naszego. Szkoda, że urzędnicy sądowi jako niemyśliwi nie należą do stowarzyszenia, i sprawy kłusownicze dość lekko traktują, lekceważenie to nie pochodzi z niechęci, lecz po prostu ztąd, że jako niemyśliwi nie przywiązują żadnej wagi do rozwoju łowiectwa, uważając je jako prostą zabawkę. Prezesem Towarzystwa wybrano podpisanego, zastępcą pana Zatheya, komendanta batalionu obrony krajowej. Do Wydziału weszli PP.: starosta Kurykowski, Zdulski Max, dzierżawca i Galiński, sekretarz Rady powiatowej, wszyscy zamiłowani myśliwi. Zrobiony więc początek a zainteresowawszy miejskie sfery mamy nadzieję, że przy ich pomocy wytępimy kłusowników i uzyskamy z czasem zwierzostan odpowiedni naszym olbrzymim lasom i korzystnemu ze wszech miar terenowi.

Czesław Kozłowski.

P. R. Nowe Towarzystwo myśliwskie witamy serdecznie i prosimy o ustalenie związku z Towarzystwem centralnem i Redakcyą „Łowca“.

Wiedeń, 16 Marca.

Możeby kto umieścił biografię śp. Artura Janowskiego w „Łowcu?“ Wszakże mogliby to uczynić hr Leopold Starzeński, Karol Brzozowski lub profesor Zawadil. Taka biografia człowieka dla nauk przyrodniczych wielce zasłużonego byłaby nader pożądaną i nauczającą. *M. W.*

Popieluchy (Król. Pols.), 7 Lutego.

Miłej doznałem niespodzianki, gdy pierwszy numer „Łowca“ zawitał do mnie, przekonywując mnie, że i dla nas to myśliwskie Pismo jest dostępne. Obiecuję sobie wiele miłych chwil czytając je i dużo pożytku dla siebie a może i dla sąsiadów, z których niektórzy za moim przykładem może staną się prenumeratorami „Łowca“. Mam tymczasem wytoczyć kilka spraw ważnych dla myśliwych, z którymi za pośrednictwem „Łowca“ odtąd będę w komunikacyi. Chciałbym przeto wiedzieć„ czy wolno czasem o coś się zapytać lub coś zakomunikować, a na niepewne, nim łaskawą odpowiedź odbiorę, pozwolę sobie bardzo dla mnie ważną sprawę przedstawić. Dotychczas polowałem z gończymi psami, dla czego, może niektórzy myśliwi to pojmują, i nazwą mnie barbarzyńcą. Teraz jednak stał się ten sposób polowania dla mnie niemożliwym, bo udało się usiłowaniom moim rozmnożyć znacznie zwierzynę szczególnie sarny. Mimo tego trwam w przekonaniu, że polowanie z naganką przyjemnem jest tylko u kogoś, nie zaś u siebie, gdzie się poluje na ograniczonej przestrzeni od początku do końca roku myśliwskiego. Rozmnożyłem jamniki (taksy) pragnąc nimi zastąpić gończe psy, co mi się zdawało być odpowiedniem, ale taksy moje nie dotrzymują tropu, trochę pogonią, z początku głosem, potem cicho, i wracają. Co począć? Czy moje taksy źle ułożone, czy to może rasa przeznaczona tylko do jam, a wiem, że często taksy trzymają zwierza tak dobrze, jak gończe. Może trzeba taksów nie używać, a postarać się o jaką inną rasę np. pośrednią między taksem a gończym, któraby trzymała, a szła wolniej od gończego? Oto kwestya wielkiej dla mnie wagi, o której rozstrzygnienie upraszam, a muszę jeszcze dodać, że taksy moje są małe, żółte i czarno podżare, cięte, bo lisy młode w jamach duszą. Nadmienię jeszcze o rzeczy ciekawej co do taksów. Trzy suki tej rasy u mnie się oszczeniły, miały po kilkoro szczeniąt, każda była osobno umieszczona spokojnie i wygodnie, a każda z nich podusiła swoje szczenięta, kładąc się całym swoim ciężarem na nie. Godzinami siedziałem wydobywając z pod nich szczenięta, lecz ani jednego nie uratowałem.

Jan Brzozowski.

P. R. Wątpliwości sz. korespondenta stanowczo rozstrzygać nie możemy, zwłaszcza drugiej. Co do pierwszej, iż jamniki zbyt małe do polowania w kniei okazują się niepraktycznymi — to rzecz naturalna. Wszakże sama budowa ich ciała wskazuje, że nie do tego celu są przeznaczone. Krótkie nogi dźwigając stosunkowo zbyt wielki ciężar korpusu rychło się nużą nawet na czarnej stopie, tem bardziej na białej, zapadając głęboko w śnieg. Używane więc mogą być jamniki do pogonu zwierzyny tylko w małych, odosobnionych gaikach lub krzakach, w większych kniejach gon ich jest zupełnie bezskutecznym, bo rychło z powodu znużenia gubią trop. W skutek łączenia jamników z ogarami wytwarza się osobna rasa, większa, wytrwalsza i silniejsza, z odmiennymi nieco kształtami od jamników czystej krwi. Ta rasa używaną bywa w Czechach z nader pomyślnym skutkiem do polowań na sarny i jelenie. Psy takie gonią długo, powolnie, głosem. Zwierz nie lęka się tego prześladowania, lekceważy je, i raczej zwolna ustępuje, jak rączo pomyka. Cierpliwy i wytrwały myśliwy może być pewny spotkania ze zwierzem Takiej więc tylko rasy jamników do polowania w kniei z dobrym skutkiem użyć można. Polowanie z gończymi psami winno być bezwzględnie zaniechane, pies gończy nie tylko rozprasza zwierzynę, ale też w skutek fizycznego znękania naraża ją na choroby. Kto chce mieć stałą zwierzynę w kniei, nie powinien z psami gończymi polować. — Druga wątpliwość podniesiona przez sz. korespondenta jest i dla nas zagadkową. Wiemy, że w charakterze chartów i jamników jest jakaś zawiść i niezwyczajna zaciętość i złośliwość. Wiadomo nam, iż gdy się suki w jednem miejscu równocześnie oszczenią, jedna drugiej podczas nieobecności matki płód jej dusi, ale jest również rzeczą pewną, że jamniczka z niezwykłą troskliwością i prawdziwie rodzicielską miłością pielęgnuje swe dzieci. Wypadek przeto zacytowany przez sz. korespondenta jest istotnie zagadkowym, chyba może owe szczenięta stały się ofiarą owej wrodzonej złośliwości. Być także może, iż owe trzy suki poraz pierwszy się oszczeniły, i podusiły swe dzieci — w skutek zbytniej macierzyńskiej miłości i troskliwości.

Dla statystyki myśliwskiej poczuwam się do obowiązku podać spis zwierzyny, ubitej od 18 Września 1881 do 22 Stycznia 1882 w rewirach należących do dóbr miasta Lwowa. Polowania odbywały się gremialne zaś na zwierzynę lotną każdemu z członków Tow. pojedynczo polować wolno. Polowania w tym roku powiodły się o wiele gorzej niż w latach poprzednich; ubito: zajęcy 122, rogaczy 8, lisów 13, borsuka 1, słonek 18, kuropatw 9, dubeltów 21, kszyków 28, przepiórek 32, jarząbka 1, bataliona 1, kaczek 7. *Franciszek Ehrlich* (kupiec)

komitetowy i skarbnik Towarzystwa.

Lwów, 10 Marca.

Udzielona mi łaskawie przez sz. Redakcyę „Łowca“ do odczytania korespondencya p. T. Żurowskiego zniewala mnie do rychłej odpowiedzi. Szanownemu przeciwnikowi memu zmuszony byłem przypomnieć jego bardzo szczegółowy artykuł o Teschnerówkach, bo on mi dał najdogodniejszą podstawę do zbadania jego twierdzeń — i dyalektyki. Traktowałem rzecz ściśle przedmiotowo, a p. Z. sprowadza ją z małym pożytkiem dla czytelników na pole osobistości. Powołałem się na drogą mi pamięć mego przewodnika w myśliwstwie jedynie w tym celu, aby stając do zapasów z p Z., bliżej dać się poznać. Obecnie tem bardziej pragnę spór rozstrzygnąć próbą, ale na gruncie neutralnym, w czasie bytności sz. oponenta we Lwowie, zgadzam się nawet na ogłoszenie rezultatu tej próby, jako reklamy dla firmy zwycięskiej, jeżeli tego p. Z. zażąda, i jeżeli taka reklama przez fachowych arbitrów ułożona, za potrzebną uważana będzie. Według mego zdania wdał się p. Z. w niefortunną juristeryę z owem świadectwem nieboszczyków, bo jest ono nietylko ważnem legalnie, ale nadto w naszej sprawie o tyle ważniejszem, iż jak niedawno ś. p. A. Strzelecki, jako myśliwy starego autoramentu, tak również uczeń jego i wyznawca dobrej, starej wiary, mniej ma w sobie popędu do nowatorstwa, do jakiego dzisiejsi myśliwi w obec chaosu nowych, niezliczonych wynalazków na polu rusznikarstwa tak są pochopni. Zresztą wielkie jeszcze pytanie, czy żywi świadkowie, których imionami p. Z. tak hojnie szafuje, z równą żarliwością tę sprawę, w każdym razie bardzo wątpliwą, popierać będą. Że najróżnorodniejsze wynalazki rusznikarskie mogą swymi często najdziwaczniejszymi, a zawsze łudzącymi pozorami, sprowadzić myśliwych na manowce, dosyć przytoczyć, że w Państwie austryackiem tylko od Stycznia do 12 Października r. 1881, na 58 zgłaszających się udzielono 48 patentów na rozmaite rusznikarskie wynalazki. Przytoczyłem zresztą zdanie kompetentne fachowego zwolennika iglicówek Neumanna, którego przepowiednia co do Dreysówek tak się ziściła, jak się niebawem również co do Teschnerówek ziści, choćby nawet, jak dla pana Z. specyalnie, poczęto do nich wyrabiać zupełnie

mosiężne skówki nabojowe. Sierotę ową, którą pan Z. w tak staranną wziął opiekę, adoptowaliby niezawodnie Anglicy lub Amerykanie, gdyby zaród rychłej śmierci i wady organiczne, w numerze 1szym i 3cim „Łowca“ t. r. wykazane, nie odstręczały ich od tego. Ponieważ pan Z troskliwie właściwą kwestyę sporną omija, bo dykteryjka o talerzach niczego nie dowodzi, i oprócz dystancyi i śrótu 00 pp żadnych zresztą co do luf nie stawia warunków, to ja korzystając z tej wolności, postawię jeszcze jeden, a zobaczymy, kto zwycięży. Nie wątpię w końcu, iż p. Z. w najlepszej wierze i z głębokiego przekonania staje w obronie Teschnerówek, pozwoli sobie jednak powiedzieć, że jego sąd jest jednostronny, bo polega na niebardzo silnie uzasadnionem umiłowaniu tego systemu, który przy dokładniejszem jego zbadaniu i w zestawieniu porównawczem z innymi dziś już nader mało znajduje obrońców *L. Weeber.*

Hr. z Potockich Tyszkiewiczowa przywiozła z Litwy małego niedźwiedzia mamzera, bardzo oswojonego, z którym bez obawy igrać i bawić się można, naturalnie tylko do czasu, w którym niedźwiedź poczuje swoją siłę i popędy przyrodzonej drapieżności. Jako dowód przytoczymy przykład. Hr Juliusz Dzieduszycki miał w Jarczowcach młodego niedźwiedzia, z którym zwykł był mocować się. Pewnego dnia poczuł, iż dotąd grzeczny i pokorny misio nadto energiczny stawia mu opór, kazał go przeto zamknąć w mocnej klatce. Niedźwiedź wyłamał szczeble i ruszył ku sadzawce, przy której właśnie prały dwie kobiety wiejskie. Przeraziły się one nie mało widokiem zbliżającego się niedźwiedzia, więc w ucieczce szukały ocalenia. Młodsza, silniejsza umknęła, starsza dostała się w uściski drapieżnika, który jej całą pierś rozszarpał i kości połamał Wszczęła się wrzawa, która wnet sprowadziła strzelca z rusznicą na miejsce katastrofy. Niedźwiedź po dokonanym okrutnym czynie kąpał się swobodnie w sadzawce, tam go też dosięgła kula. Wiadomo, iż niedźwiedzie z łatwością dają się oswoić, nigdy im jednak zbyt ufać nie można, zawsze wracają do swojej przyrodzonej dzikości.

Lwów, 8 Marca.

Borsuk mimo swej powolnej, ociężałej i płochliwej natury, a oprócz tego i częstego prześladowania przez wieśniaków dla skóry i sadła, umie się jednak dobrze ukrywać w pobliżu mieszkań ludzkich. Na przykład w lasku realności „Zofijówka“, po lewej stronie rogatki Stryjskiej zamieszkuje prawdopodobnie liczna familia borsuków wnętrze stromego, dość obszernego pagórka Zdaje się, że tylko obfitość pożywienia z sąsiednich ogrodów i bliskość wody, której w braku żywności wiele pije, zatrzymują go w tem miejscu, bo zresztą niepokojonym jest ciągle przez szczekające psy, a w lecie przez wartowników sadów i pól. Przeszłego roku, przy końcu Maja, przyszedłszy po południu do tego lasku, usłyszałem jakiś szmer, i spostrzegłem o pięć kroków odemnie borsuka, patrzącego na mnie, i wcale moim widokiem nie strwożonego. Gdym klasnął w dłonie, ruszył powoli. Poszedłem za nim na drugą stronę pagórka i stanąłem niezakryty o kilka kroków przed norą. Po chwili wychyliły się do połowy dwa borsuki z jamy, poczęły mruczyć, kręcić się i wietrzyć. Trwało to może pięć minut, wreszcie pochowały się i już ich więcej nie ujrzałem. Nie wiem, jakiej przyczynie przypisać taką obojętność i takie zbliżenie się do mnie borsuka, czy słabemu węchowi czy też słabemu wzrokowi za dnia! *H. M.*

Hr. Stefan Zamojski donosi, że około Kowla ubito 2 Marca dwie słonki.

Widzieliśmy małego zajączka, mającego zaledwie 8 dni, odebranego z pyska psa legawego na Wysokim Zamku we Lwowie. Doniesiono nam, że amatorowie łatwego polowania puszczają na Wysokim Zamku jamniki, które zające gonią i wypłaszają. Zwracamy na to uwagę Magistratu.

---

14 Lutego.

Przesyłam wiadomość, która jak sądzę obchodzić może myśliwych, a zwłaszcza przyrodników, i zasługuje na umieszczenie w „Łowcu“. Zastrzeliłem srokatą wronę, na którą już niemal od dwóch lat poluję. — Pierwszy raz spostrzegłem ją w jesieni 1880 r. na zasiewach w licznem gronie swoich towarzyszek. Od tej chwili byłem w ciągłej obawie, iżby ten rzadki i osobliwy egzemplarz dla mnie nie zaginął. Z powodu jej niezwykłej ostrożności i czujności nie mogłem się żadną miarą do niej na strzał zbliżyć, podchodziłem ją, podjeżdżałem konno i wózkiem nieraz, obiecywałem nagrodę za jej głowę — wszystko napróżno! Wrona była mędrsza, przebieglejsza od nas wszystkich, dosyć powiedzieć, że przez cały ten przeciąg czasu nikt do niej ani razu nie strzelał. Jest ona nieco od zwykłej wrony mniejszą, w upierzeniu niczem się od innych nie różni, tylko pióra w skrzydłach i w ogonie są od szypułek na zewnątrz coraz jaśniejsze, począwszy od barwy popielatej, aż do białej prawie, przy samej zaś szypułce pióra są zupełnie ciemne z zielonogranatowym, metalicznym połyskiem. W ogonie ma dwa pióra wierzchnie takie jak u sroki, lśniące, długie i nie sztywne, co mnie naprowadza na wniosek, że jest ona mięszańcem sroki i wrony. Uważałem, że w lecie była ona o wiele ciemniejszą, ku zimie pierząc się dostawała coraz jaśniejszych piór Pstrego potomstwa zapewne nie zostawiła, gdyż nigdy nie zdarzyło mi się widzieć więcej takich wron. Dodawać nie potrzebuję, iż ciekawy ten egzemplarz wypchany przechowałem u siebie.

St. Larysz Niedzielski.

Wiadomo nam, iż mimo wzbronionego Ustawą polowania, u kurników dostać można dziś, a nawet w każdej porze roku zwierzyny, która oczywiście pochodzi od kłusowników. Za granicami naszego kraju odbywają się częste rewizye u handlarzy zwierzyną w porze Ustawą wskazanej. Konfiskata tejże zapobiega kłusownictwu i strzeże prawa. Dla czego Prześw. Magistrat lwowski tego nie czyni? Towarzystwo łowieckie chętnieby się przyczyniło do dotacyi rewizora.

Donosząc o zawiązaniu się Towarzystwa myśliwych w Rohatynie przyrzekliśmy ogłosić Okólniki, które to Towarzystwo rozesłało. Mają one niemałe znaczenie, zasługują przeto na rozpowszechnienie.

Okólnik do członków Towarzystwa myśliwych w Rohatynie.

Podając niniejszem do wiadomości członków Towarzystwa, że protokoły licytacyi dzierżawy polowań w powiecie Rohatyńskim już zatwierdzone zostały, zawiadamiamy równocześnie, iż Towarzystwo zarazem w używanie nabytych na licytacyi praw wchodzi i udzielamy każdemu z członków Towarzystwa 1 egzemplarz Statutu wraz z regulaminem, listą członków i opisem miejscowości, w których Towarzystwo prawo polowania nabyło. Równocześnie doręczamy wszystkim członkom, którzy należytość wkładkową za rok bieżący opłacili, kartę polowania, tym zaś członkom, którzyby dotychczas należytość wkładkową jeszcze nie uiścili, kartę polowania za złożeniem należytości prezes Towarzystwa wyda. Wydział imieniem Towarzystwa prosząc o ścisłe i dokładne przestrzeganie postanowień Statutu i regulaminów, ma zaszczyt zwrócić uwagę członków na rozporządzenie c k. Starostwa z dnia 18 Października r. z. do L. 9798. za inicyatywą Wydziału Towarzystwa do wszystkich gmin, przełożonych obszarów dworskich i właścicieli polowań wydanego, którego to rozporządzenia egzemplarz załączamy. Pragnąc pomyślny stan łowiectwa nietylko w zadzierżawionych przez Towarzystwo gminach, ale nadto o ile możebnem w całym powiecie podnieść, upraszamy członków, by baczną swą uwagę o ile to być może zwracali wszędzie na to, by powołane rozporządzenie c. k. Starostwa ściśle przestrzegane, a wszelkie nadużycia, jak niemniej wszelkie przekroczenia przeciw ustawie łowieckiej i innym dotyczącym przepisom i postanowieniom do wiadomości c. k. Starostwa i Wydziału Towarzystwa bezzwłocznie podawane były, Wydział zaś postara się o ukaranie winnych i o usunięcie nadużyć. Dla skutecznego dozorowania polowania w rayonie naszym, Wydział ustanowi straż polowania w miarę okazania się potrzeby, a strażników polowania przedstawi c k. Starostwu do zaprzysiężenia. Zeznanie zaprzysiężonego strażnika wystarczy jako dowód winy do ukarania kłusownika. W tym celu uprasza Wydział wszystkich członków, by Wydziałowi odpowiednie indywidua z rayonu polowania do Towarzystwa należącego, o ile to być może po poprzedniem porozumieniu się z nimi, przedstawić raczyli. Naszem zdaniem najodpowiedniejsze ku temu indywidua będą dotychczasowi kłusownicy, którzy zresztą powinniby być ludźmi porządnymi i trzeźwymi. Zamianowani strażnicy pobierać będą wynagrodzenie w §. 11 i 15 regulaminu ustanowione, a oprócz tego mogą na podstawie umowy z Wydziałem osobną otrzymać remuneracyę. Dla ścisłej nadto kontroli jak niemniej w zastosowaniu §. 4. regulaminu, Wydział podzielił całe terytoryum polowania na pojedyncze rayony, mianując dla każdego rayonu jednego z członków administratorem a względnie kierownikiem polowania dotyczącego rayonu.

W nagłych wypadkach wybrani ci delegaci uprawnieni będą sprawy specyalne przez Wydział im polecone w zastępstwie Wydziału załatwić, jak niemniej obowiązkiem delegatów będzie ściśle nadzorować straż polowania i dokładnie obznajomić się z terytoryum polowania do ich rayonu należącem. Wydział na podstawie uchwały swej uprasza członków. by baczną swą uwagę zwracać chcieli tak bezpośrednio jak też pośrednio na wytępienie szkodników i największych nieprzyjaciół zwierza łownego, do których zaliczyć należy: wrony, sroki, jastrzębie, koty, kuny i łasice, samopas po polu wałęsające się psy, nareszcie w czasie strzela-

nia dozwolonym lisy, które jeżeli niezostaną wyniszczone, stan zajęcy, sarn i kuropatw żadną miarą podnieść się nie zdoła.

Ostatecznie uprasza Wydział wszystkich członków o częste i dokładne doniesienia Wydziałowi, wiele, gdzie i jakiej zwierzyny ubito tak łownej jakoteż i szkodników, a to dla umożebnienia zestawienia dat statystycznych, jako też dla uwidocznienia postępów skutecznego działania Towarzystwa.

Rohatyn, dnia 26 Października 1881 r.

Sekretarz, *Cholewiński.* Prezes, *Kornberger.*

Towarzystwo myśliwych w Rohatynie do Szanownej Komendy posterunku żandarmeryi.

Odwołując się na rozporządzenie Świetnego c. k. Starostwa z d. 18 Października 1881 r. L. 9798, donosimy Szanownej komendzie, iż w Rohatyńskim powiecie zawiązało się Towarzystwo myśliwych, które zadzierżawiło polowania w gminach w załączniku ./· poszczególnionych. Przesyłając Szanownej komendzie nasze Statuta i regulamina, jak niemniej spis członków naszego Towarzystwa do wglądnienia, upraszamy Szanowną komendę o popieranie naszych celów przez energiczne dozorowanie, by krajowa ustawa łowiecka z dnia 30 Stycznia 1875 r. co do czasu, w którym zwierzęta łowne strzelane być mogą, zawsze i wszędzie ściśle przestrzeganą była, jak niemniej przez wytępienie kłusownictwa, ogromnie dotychczas w powiecie naszym zagnieżdżonego. Kłusownictwo tak wielce przeszkadzające rozwojowi łowiectwa wówczas poskromionem zostanie, gdy nieuprawnionym przy nadybaniu ich w używaniu broni, broń odebraną, a winni do ukarania c. k. Starostwu oddani zostaną. Również zwrócićby należało uwagę na przekupniów, którzy w czasie ustawą niedozwolonym zwierzyną handlują, gdyż z jednej strony i oni podpadają karze, z drugiej zaś strony przez nich łatwo można odkryć myśliwych-kłusowników. Gdy na terytoryum polowania do Towarzystwa należącego polować wolno oprócz członkom także i gościom przez Towarzystwo zaproszonym, jednakże dopiero za poprzedniem otrzymaniem „karty polowania“, przeto udzielamy Szanownej komendzie jeden wzór karty polowania z tem, iż na terytoryum do Towarzystwa należącem tylko wyłącznie tym osobom polować wolno, które taką kartą polowania wykazać się zdołają, straż zaś polowania posiadać będzie żółtą blaszkę z napisem: „Straż polowania Towarzystwa myśliwych w Rohatynie“.

Okólnik c. k. Starostwa Rohatyńskiego.

L. 9798. W skutek mego ogłoszenia z 31 Lipca 1881 r. L. 8100 odbyła się w c. k. Starostwie publiczna licytacya, przy której prawo polowania na wszystkich gruntach w powołanem ogłoszeniu nie wyłączonych, a w granicach obwodu gminy tamtejszej położonych, na lat pięć od 20 Września 1881 począwszy rachując zadzierżawił . . . . . . za roczną kwotę . . . złr. . . . cnt., która jako depozyt polityczny w c. k. Urzędzie podatkowym umieszczoną została. Akt wydzierżawienia zatwierdziłem na mocy postanowień § 4. rozp. minist. z 15 Grudnia 1852 roku Nr. 257 Dz. p. p. Zawiadamiam o tem z nadmienieniem, że czynsz dzierżawny podnieść będzie można z końcem każdego roku dzierżawnego za kwitem należycie ostemplowanym w c. k. Urzędzie podatk. tudzież za asygnatą tutejszą, o którą równocześnie w dniu podniesienia kwoty osobne podanie nieostemplowane do c. k. Starostwa wnieść potrzeba. Po podniesieniu czynszu dzierżawnego winien być takowy stosownie do postanowień §. 8. Najw. patentu z 7 Marca 1849 Dz. p. p Nr. 154 rozdzielony między wszystkich właścicieli, na których gruntach w granicach gminy położonych polowanie wydzierżawiono, a to wedle rozległości każdej posiadłości, względnie w stosunku do opłacanego stałego podatku gruntowego. Przy tej sposobności przypominam liczne ustawy i przepisy wydane w sprawach łowieckich w ogóle, a w szczególności w sprawach polowania. Rozporządzenia te wydane zostały w interesie gospodarstwa krajowego, którego ważną gałęź stanowi łowiectwo, tak dla ochrony właścicieli polowania jakoteż właścicieli gruntów, na których to prawo jest wydzierżawione. Podstawę tych ustaw i przepisów stanowi patent o polowaniu z 13 Kwietnia 1786 r. do dziś dnia obowiązujący, o ile nie został późniejszymi przepisami zmieniony lub zniesiony. Wedle tego patentu nie wolno nikomu pokazywać się z bronią, psami gończymi lub chartami w cudzym okręgu polowania, wyjąwszy przechodzących publiczną drogą lub ściezką. Przestępcom tego zakazu może właściciel polowania sam lub przez ustanowionych dozorców broń odebrać, a nadto podlegnie tenże karze ustanowionej w rozp. minist. z 30 Września 1857 r. Łapanie lub strzelanie cudzej jakiegokolwiekbądź rodzaju zwierzyny jest kradzieżą i jak każde inne przyswojenie sobie cudzej własności będzie karane przez c. k. Sądy. Natomiast wolno jest każdemu dla ochrony pól i łąk o każdej porze roku tak zwaną zwierzynę czarną t. j. dziki, wilki lub inne szkodliwe zwierzęta ubijać. i pozostawić je ubite lub złapane na miejscu dla właściciela polowania, to samo odpędzać wszelką zwierzynę. Również nie wolno nikomu polować po gruntach obsianych i przestępcy tego zakazu ulegną karze. Ponawiając powyższe postanowienia wzywam do ogłoszenia takowych jakoteż ustaw o ochronie zwierząt pożytecznych i o noszeniu broni w swoim rejonie, do użyczania swej pomocy dzierżawcom polowania, a przedewszystkiem do powstrzymania kłusownictwa i zapobiegania takowemu. W tym celu należy mi wykazać podejrzanych o kłusownictwo i każdy fakt przestępstwa tego rodzaju podawać do wiadomości mojej. Gdy wiadomą jest rzeczą, że psy samopas chodzące wielką szkodę łowiectwu wyrządzają, należy przeto wydać zakaz puszczania takowych samopas tem bardziej, że właścicielom prawa polowania służy prawo strzelania psów goniących po lasach lub polach, przezco właściciele tychże na szkodę nie dającą się powetować mogą być narażeni. Za ścisłe przestrzeganie tych przepisów robię Naczelników gmin odpowiedzialnymi.

Rohatyn, dnin 18 Października 1881 r. *c. k. Starosta.*

TELEGRAM.

Na polowaniu w Berezynie u hr. Augusta Potockiego ubito 5 niedźwiedzi i 2 łosie, z których hr. Roman Potocki zabił dwa duże niedźwiedzie i jednego łosia, hr. Artur Potocki jednego niedźwiedzia, hr. Rzewuski dwa niedźwiedzie.

INSERATY.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.